MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 26 WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

W ROCZNICĘ ODRODZENIA

DZIESIĘĆ lat temu rozejm, podpisany d. 11 listopada stwierdził zwycięstwo orężne Koalicji państw zachodnich nad Niemcami. Wówczas Polska uznana już była przez mocarstwa sprzymierzone za stronę walczącą przeciwko Niemcom. Armja polska, utworzona przez Komitet Narodowy we Francji z ochotników, którzy z Polski, ze Stanów Zjednoczonych i zewsząd, gdzie usłyszeli pobudkę, tłumnie śpieszyli pod własne sztandary, armja chwałą okryta i wypróbowana w boju, świadczyła o tem, że Polska własnym świadomym wysiłkiem przyczyniła się do zwycięstwa. Do tego jasnego ustalenia stanowiska narodu polskiego w wojnie światowej doprowadziła przewidująca polityka obozu narodowego, którym kierował Roman Dmowski. Był to istotny i decydujący sukces, albowiem od niego zależało, czy Polska będzie dopuszczona do udziału w obradach i decyzjach Kongresu, który miał dać światu pokój, a Polsce państwową niepodległość.

Odniesione nad Niemcami zwycięstwo czyniło niewątpliwem odzyskanie naszej niepodległości. Nie można jednak było zadowolić się tą pewnością i spokojnie oczekiwać, co nam dadzą potężni sprzymierzeńcy. Nie każda formalna niepodległość ma jednakową treść wewnętrzną. Prawdopodobnie i Niemcy w razie zwycięstwa stworzyliby z jakiegoś skrawka Polski państewko niepodległe. Takie rozwiązanie kwestji polskiej przewidywał słynny plan wszechniemiecki, szczegółowo wyłożony w ciekawej książce O. R. Tonnenberga p.t. „*Gross-Deutschland. Die Arbeit des 20 Jahrhuderts*", wydanej w Lipsku w r. 1911. Z przedstawionego tam planu, który stał się podstawą niemieckich operacyj wojennych, okazuje się z całą jasnością, jak bezwartościową i potworną fikcją byłaby niepodległość, którąbyśmy z rąk zwycięskich Niemiec otrzymać mieli. Kiedy ten dar Danaid już nam nie groził, Komitet Narodowy Polski, który w r. 1917 uznany został przez Francję, Anglję, Włochy i Stany Zjednoczone za oficjalne przedstawicielstwo narodu polskiego, miał obowiązek czuwania nad tem, abyśmy od Kongresu pokojowego państw zwycięskich otrzymali taką niepodległość, jakiej Polska potrzebowała. Obowiązek był niełatwy do spełnienia. Czynnikom decydującym na Kongresie, ludziom, którzy po dyktatorsku zabrali się do nowego urządzenia świata, a którzy bardzo słabo byli obeznani ze stanem naszej sprawy, trzeba było wyjaśniać, czem była Polska i jakie powinny być podstawy jej odbudowania. Wiele trudności przysporzyły Komitetowi Narodowemu akademickie, po amerykańsku ujęte tezy prezydenta Wilsona, który, odrzucając względy historyczne, polityczne i strategiczne, chciał oprzeć nowe rozgraniczenie państw i narodów wyłącznie na zasadzie etnograficzno-statystycznej. Proklamowana zaś przez niego zasada stanowienia narodów o swoim losie, wnosząc wiele zamętu do skomplikowanej polityki europejskiej, obdarzyła nas różnemi plebiscytami na ziemiach, które z powodów historyczno-politycznych niewątpliwie powinny były należeć do Polski. Najważniejszą przeszkodą może było to, że sprzymierzeńcy, zwyciężywszy Niemców, zapomnieli o swoim obowiązku stworzenia w Europie przez nowy układ terytorjalny takich trwałych gwarancyj pokoju, któreby uniemożliwiły Niemcom podjęcie nowej walki. Taką rękojmią byłaby, między innemi, silna Polska o jasnej i zdecydowanej strukturze terytorjalnej, przez co by Niemcy utraciły możność i ochotę do podważania naszego bytu i intrygowania przeciwko naszym granicom. Dzięki temu zapomnieniu, a także dzięki wpływom, jakie na Konferencję pokojową wywierali tajni i jawni wrogowie nasi, Gdańsk uczyniono wolnem miastem, Prusy Wschodnie pozostały częścią państwa niemieckiego, a Litwa etnograficzna, nie związana z Polską, stała się niemieckim punktem wypadowym przeciwko Polsce

Mimo te wszystkie trudności i przeszkody, z któremi musieli się borykać przedstawiciele nasi na Konferencji paryskiej, Komitet Narodowy umiejętną i wytrwałą politykę spełnił swoje zadanie i dał Polsce zwycięstwo. Jeśli program terytorjalny Komitetu nie mógł być w całej pełni urzeczywistniony, to jednak traktaty pokojowe z r. 1919 dały państwu polskiemu te ziemie i granice, które są niezbędną podstawą do niezależnego bytu i do dalszego rozwoju. Te nabytki uzupełnione zostały w latach następnych dzięki wysiłkom narodu polskiego i dzielności jego armji. W ten sposób Polska doszła do obecnego swego państwowego obszaru. Geograficzna figura dzisiejszej Polski przedstawia wiele niedogodności, szczególniej ze względów strategiczno - obronnych. Za słabe mamy oparcie na Bałtyku, a wbijający się w nasze ziemie klin Prus Wschodnich grozi nam poważnem niebezpieczeństwem ze strony Niemiec, które dążą jawnie do opanowania naszego Pomorza i złączenia w ten sposób Prus Wschodnich z ziemiami Rzeszy. Mimo tych i innych jeszcze braków Polska w dzisiejszych swoich granicach jest niewątpliwie wielkim państwem. Ta wielkość pod względm obszaru i ludności jest dla Polski niezbędnym warunkiem niezależnego państwowego bytu, gdyż w sytuacji geograficznej, jaką nam wyznaczyły dzieje, niema miejsca na małe państwo. Każde małe państwo, któreby się w tej niebezpiecznej strefie między Niemcami a Rosją utworzyło, skazane jest na zagładę lub na bezwolną wegetację. Tę prawdę rozumieli doskonale politycy obozu narodowego i dziś po dziesięciu latach z radością stwierdzić to mogą, że cel ich zamierzeń został w głównych zarysach osiągnięty.

Jako wielkie państwo stanęła znów Polska w rzędzie państw europejskich. Formalnie powstała ona na nowo aktem traktatu wersalskiego. Błędnem byłoby jednak mniemanie, że Polska na tym akcie międzynarodowym opiera swoje istnienie. Polska, ze swoją tyciącletnią historją istnieje i istnieć będzie, choćby traktat wersalski poszarpany został na strzępy. W niej samej leży dziś źródło i uzasadnienienie jej bytu. Od niej samej a nie od aktów dyplomatycznych zależy jej teraźniejszość i przyszłość. Nie potrzebujemy już nikomu uzasadniać potrzeby i pożytku Polski niepodległej, lecz czynami zaświadczać mamy wagę naszego istnienia.

Byłoby przesadą twierdzić, że Polska po dziesięciu latach zdobyła w Europie na gruncie międzynarodowym to znaczenie, jakie jej jako wielkiemu państwu przysługiwać winno. Trzeba przyznać, że Polska nie spełnia jeszcze w dostatecznej mierze roli, jaka jej w układzie sił międzynarodowych przypada i jaka wypływa z jej historycznych przeznaczeń. Wynika to stąd, iż siła Polski nie odpowiada jej wielkości. Dlaczego tak jest, co i jak należy czynić, aby siłę zdobyć, co się składać musi na to, aby siła mogła nam dać stałość urządzeń wewnętrznych i trwałą powagę na wewnątrz—to są zagadnienia, których tutaj rozważać nie możemy. Jedno jest pewne, że naród polski winien rozumnym wysiłkiem w swem przed dziesięciu laty odbudowanem państwie rozwiązać corychlej zagadnienie własnej siły, w sposób odpowiadający wielkim tradycjom swej na rzymskich pierwiastkach opartej cywilizacji i zadaniom, jakie Polsce nakreśla historja.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

WSPOMNIENIA Z WIELKIEJ WOJNY

WYBUCH wojny światowej zaskoczył mnie w Karlsbadzie, gdzie bawiłem na kuracji dopiero od kilku dni. Wobec wypowiedzenia wojny ze strony Austrji przeciwko Serbji, wszyscy kuracjusze zaczęli Karlsbad opuszczać, bo było ryzyko, że koleje na długi czas staną. Kiedy w dniu mego wyjazdu spotkałem na ulicy Karlsbadu posła do Dumy rosyjskiej, Ignacego Szebekę, winszowaliśmy sobie wzajemnie nadejścia wolnej Polski jako niewątpliwego rezultatu światowej wojny.

W drodze do Berlina dowiedzieliśmy się, że Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Pierwsze tygodnie wojny spędziłem w Berlinie, gdzie byłem świadkiem entuzjazmu, z jakim społeczeństwo niemieckie przyjęło wybuch wojny, za którą później robiło odpowiedzialnym Wilhelma II. Dopiero wypowiedzenie wojny ze strony Anglji ostudziło trochę ten zapał.

Jako członek Koła polskiego w parlamencie niemieckim i w sejmie pruskim uprzytomniłem sobie odrazu trudną rolę, jaką polscy parlamentarzyści mieć będą podczas wojny. Już przed wojną rola tu była niełatwa: była to pozornie beznadziejna walka przeciw wytężonym usiłowaniom rządu pruskiego zgermanizowania okolic polskich już to przez niemczenie ludności, już to przez wypieranie ludności polskiej z jej siedzib. Kontrakcja polskiego społeczeństwa polegała na systematycznem podnoszeniu moralnem i materjalnem ludności naszej: moralnem — przez szerzenie kultury narodowej za pomocą druku i zebrań, dalej przez wygłaszanie w parlamentach mów przypominających naszą narodową krzywdę, a materjalnem przez kurczowe trzymanie się ziemi, (aby przyszła Polska się nie rozeszła), i przez systematyczną pracę nad podniesieniem zarobkowości polskiej, mianowicie za pomocą hasła „swój do swego“. Już po wojnie jakiś uczony niemiecki wystawił poznańczykom (tak nazywano Polaków z zaboru pruskiego) świadectwo, że ich postępowanie będzie po wszystkie czasy wskazówką dla uciśnionego narodu, w jaki sposób powinien bronić swej egzystencji.

Wobec tragicznych wyników naszych powstań, a mając sposobność przypatrzyć się zbliska, do jakiej perfekcji niemcy doprowadzili rzemiosło wojenne, żaden polak w zaborze pruskim nie wierzył w możliwość odzyskania wolności przy pomocy powstania. Ale każdy z nas w to wierzył, że wojna między Niemcami a Rosją zburzy automatycznie mury więzienne.

A wojnę tę czuć było w powietrzu już od roku 1911, bo było wiadome, że Niemcy w przewidywaniu bliskiej wojny pogłębiają kanał północny i orga-

niczają kredyty bankowe. Na zjezdzie polityków polskich we wrześniu 1912 (w Pieniakach u śp. Tadeusza Cieńskiego, późniejszego senatora) wentylowaliśmy możliwość wojny niemiecko-rosyjskiej. Obawialiśmy się już wtedy rozłamu w społeczeństwie polskiem, obawialiśmy się, że pójdzie ten do Sasa, ten do lasa. Ale głównie obawialiśmy się, że i Niemcy i Rosja spróbują szafować krwią polską ochotniczo przelewaną niby to za polską sprawę. Zgodziliśmy się wówczas na hasło: nie pozwólmy się wyzyskiwać!

A ten wyzysk z chwilą wybuchu wojny odrazu został wprowadzony w życie. Już w sierpniu 1914 Niemcy rozrzucali tysiącami za pomocą aeroplanów w całem Królestwie broszury polskie z wizerunkiem matki Boskiej Częstochowskiej; z broszur tych wynikało, że Pan Bóg stoi po stronie Niemiec. Ponieważ prasa nasza była skneblowana, tylko agitacją z ust do ust można było tę akcję paraliżować ośmieszając ją.

Fatalną dla naszej taktyki była odezwa Piłsudskiego, wydana w dniu 14.VIII 1914 w imieniu Rządu Narodowego, a wzywająca naród polski do walki po stronie Austro-Niemiec.

Do sparaliżowania tej odezwy przyczyniła się odezwa W. Ks. Mikołaja z dnia 14.VIII 1914. Wywołała ona wprawdzie w pewnej części społeczeństwa zbyt wielkie nadzieje, ale miała jedną dobrą stronę— uchroniła nas od nieszczęścia, w które nas Niemcy chcieli wprowadzić, od wybuchu powstania w Królestwie.

Jaka była sytuacja Kół polskich w Berlinie? Parlament zwołany na dzień 4.VIII.14 załatwił kredyty wojenne i liczne ustawy konieczne na czas wojny — i rozjechał się na wakacje. Jednakże na koniec września 1914 zwołany został sejm pruski; spodziewalismy się. iż rząd pruski podczas sesji sejmu odkryje swe zamiary w kwestji polskiej.

Sympatje społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim szły zupełnie po stronie koalicji. Nietylko z instyktywnej antypatji do niemców, ale dlatego, że jasne było, iż Polska z łaski zwycięskich Niemiec będzie mogła się składać z jakiegoś skrawka Królestwa Polskiego, połączonego w najlepszym razie z skrawkiem Galicji. Było nam wiadome (późniejsze publikacje te potwierdziły), że Niemcy w razie zwycięstwa chcieli odciąć od przyszłej Polski zagłębie Dąbrowskie i Kaliskie. Z tych względów wszelka czynna pomoc udzielana Austro-Niemcom uchodziła w oczach poznańczyków za wręcz szkodliwą dla przyszłości Polski. Osobników odmiennych zapatrywań można było policzyć na palcach.

W Kole polskiem, tak parlamentarnem, jak i sejmowem aktywiści ani liczebnie, ani intelektualnie nie mieli żadnego wpływu. Większość Kół stała sympatjami po stronie koalicji i różniła się między sobą tylko drobnemi odchyleniami w kwestji taktyki. Jedni chcieli się ograniczyć wyłącznie do biernego czekania, inni, do których i ja należałem, proponowali wyzyskanie chwili bez ryzykownego poświęcania sił narodu. Celem naszym było: powstrzymanie szerszych kół narodu od dobrowolnej czynnej pomocy na rzecz Austro-Niemiec, dalej ratowanie siły narodu od zniszczczenia przez wojnę, a jeśli będzie można, wyzyskanie czasu niepewności wojennej do wymuszenia na Prusach uznania praw narodowości polskiej na terenie Prus.

Ten ostatni cel miał oczywiście znaczenie tylko wtedy, gdyby zabór pruski pozostał pod berłem Prus. Ale z tą możiiwością trzeba się było liczyć. I to nietylko w razie zwycięstwa Niemców, ale i w razie zakończenia wojny jako nierozegranej partji. A był to rezultat, który Niemcy mogli osiągnąć jeszcze w r. 1917. Byłem przekonany, że w tych dwóch wypadkach zabór pruski tylko te narodowe prawa uzyska, które zdobędzie przed zakończeniem wojny.

Z tego zapatrywania wynikła następująca taktyka. Kiedy rząd pruski we wrześniu 1914 zwołał sejm, przeprowadziłem w naszem Kole sejmowem zażądanie od pruskiego rządu natychmiastowego zniesienia praw antypolskich. Kiedy zaanonsowałem to zastępcy kanclerza ministrowi Delbrückowi, tenże odpowiedział mi zdenerwowany, że taka praca jest w czasie wojny dla rządu zbyt uciążliwa. Wówczas wyciągnąłem z kieszeni gotowy projekt ustawy znoszącej przepisy antypolskie pruskich ustaw. Na to minister Delbrück z dobrze odegranem oburzeniem odpowiedział, że rząd nie może dopuścić do tego, aby mu „przystawiano pistolet do piersi".

Rozmowa miała ciekawą konsekwencję. Na posiedzeniu konwentu seniorów sejmu, który miał radzić nad pracami najbliższej sesji, z ramienia Koła obecni byli: prezes Mizerski i ja. Pierwotnie nie odzywaliśmy się co do naszych zamiarów, aż nas wkońcu wyraźnie o to zainterpelowano. Odpowiedziałem, iż, jak to się samo przez się rozumie, stawiamy wniosek o zniesienie ustaw antypolskich. Replikowano nam, iż taki wniosek wywołałby w świecie fatalne wrażenie wewnętrznego rozłamu w kraju. Na to ja: „przecież rząd jest w możności uchronić się od tego efektu, jeśli sam wniesie o zniesienie antypolskich ustaw. Jeśli zaś tego nie chce, to obowiązkiem naszym będzie poruszenie tej sprawy, aby później wyborcy nasi nie robili nam zarzutu, że milczeliśmy, gdy trzeba było mówić. Świadomi jesteśmy tego, że wniosek nasz, o ile spotka się z opozycją rządu, wywoła w Europie fatalne wrażenie. Ale nie nasza w tem będzie wina: wszakże niedawno kanclerz Bethmann-Hollweg wydał manifest głoszący: „*Deutschthum ist Freiheit*" (niemieckość to wolność!). No! niech się świat przekona, jak wygląda owa wolność".

Konwent rozszedł się w rozdrażnieniu. Już tej samej nocy ukazał się w bytomskim „Katoliku", organie Napieralskiego, popieranym przez rząd pruski, artykuł mieszający mnie z błotem z powodu robienia trudności rządowi pruskiemu — artykuł oczywiście inspirowany telefonicznie przez rząd pruski. Artykuł ten miał tylko ten skutek, że otwierał oczy społeczeństwu na podziemną robotę rządu pruskiego w prasie polskiej. Kampanja, którą aktywiści w Kole sejmowem rozpoczęli przeciwko mnie z powodu wystąpień rzekomo drażniących rząd pruski, spaliła się na panewce głównie dzięki zdecydowanemu wystąpieniu zmarłego niedawno posła ś. p. Zygmunta Seydy.

Oficjalnie rząd pruski chcąc uprzedzić nasze wystąpienie oświadczył, że programem jego jest zmiana polityki wobec ludności polskiej, ale dopiero po wojnie na mocy „nowej orjentacji". Znaczyło to: po wojnie się namyślimy, czy nie można Polaków lepiej traktować. Społeczeństwo polskie słusznie pojęło tę deklarację w tym sensie, że rząd pruski nie zamierza porzucić idej zgermanizowania zaboru pruskiego.

Główny nasz cel został osiągnięty: społeczeństwo przyszło do przekonania, że w razie zwycięstwa Niemców nic nie osiągniemy dla wolności narodu polskiego. Jak strumień zimnej wody podziałały wypadki berlińskie na myśl tworzenia legjonów po stronie Austro-Niemiec i na pomysł wywołania powstania w Król. Polskiem.

Odtąd praca nasza w parlamencie zmieniła główny swój cel: odtąd trzeba było pracować nad zmniejszeniem zniszczenia Polski przez wypadki wojenne. Jasne nam było, że Polska stoi nad ekonomiczną

przepaścią, która może uniemożliwić samodzielną egzystencję polityczną.

Zniszczenie Polski odpowiadało właśnie zamiarom Niemiec w tym wypadku, gdyby po zwycięskiej wojnie utworzyli z Polski państwo buforowe przeciwko Rosji. Było nam dobrze wiadomo,—a powojenne publikacje to jasno potwierdziły, że Niemcy miały zamiar „uwolnić Polskę od jarzma rosyjskiego" odcinając od niej zagłębie Dąbrowskie i Kaliskie t.j. najważniejsze gospodarczo jej części. Nietylko nie pytano, z czego wolna Polska będzie żyć, ale wyraźnym zamiarem niemców było zniszczenie przemysłu polskiego, aby po wojnie Niemcom nie robił konkurencji. Tego samego systemu trzymały, się Niemcy zresztą w Belgji i w północnej Francji.

A więc nietylko wszystkie surowce rekwirowano, ale wbrew przepisom konwencji haskiej także fabrykaty gotowe, nawet takie, które do prowadzenia wojny były bezużyteczne, np. plusze i części ubrania kobiecego, firanki i t.p. Z fabryk zabierano maszyny a z pozostałych na miejscu wyłamywano i zabierano miedziane i mosiężne części. Lasy w Królestwie i na Litwie wycinano, aby drzewo sprzedawać w Holandji, ba, oddawano nawet prywatne lasy polskie żydom niemieckim do eksploatacji. Nawiasem mówiąc, te oczywiste złodziejstwa, sięgające miljardów, nie znalazły dotąd pomimo porażki Niemców sądów, w którychby można poszukiwać wynagrodzenia, boć Polska nie należała jakoby do państw wojujących z Niemcami.

Drugą, może jeszcze gorszą formą niszczenia Polski, była naganka na robotnika polskiego. Wojna zaskoczyła kilkakroć sto tysięcy polskich robotników sezonowych na terytorjum Niemiec. Z tych wolnych kontraktowych robotników, którzy rokrocznie powracali do domu w Królestwie i w Galicji, zrobiono niewolników. Nietylko im zakazano powrotu do domu, ale traktowano ich co do mieszkania i pożywienia gorzej od zwierząt, a płacono zamiast piewotnego myta po kilka fenygów dziennie.

A ponieważ ci robotnicy setkami uciekali i woleli schwytani wycierać więzienia pruskie, niż pracować u niesumiennych przedsiębiorców niemieckich, zaczęto robić w Królestwie i na Litwie obławy na świeżych robotników, których przymusowo sprowadzano do Niemiec.

Te skandaliczne stosunki piętnowaliśmy wielokrotnie z trybun parlamentu i sejmu. Trafiało to w czułą strunę niemiecką, boć Niemcy starali się wszelkiemi sposobami grać przed światem komedję narodu szlachetnego, który przez sąsiadów został haniebnie napadnięty. Powoli więc nasze występy z trybun działały na korzyść polskich robotników, mianowicie co do obchodzenia się z nimi.

Tymczasem zaszedł nowy incydent, który wprawił nas w położenie jeszcze trudniejsze. Gdy w maju 1915 Rosjanie ponieśli decydującą porażkę na froncie polskim, całe Królestwo wpadło w ręce Austro-Niemiec.

Utworzono dwa jeneralne gubernatorstwa, warszawskie i lubelskie. Pomimo dotychczasowych ujemnych doświadczeń rząd niemiecki nie stracił nadziei, że Polacy wystawią ochotniczą armję jakichś 200000 ludzi na pomoc Niemcom. Polscy aktywiści obciecali im to jako pewnik, jeśli Niemcy uprzedzą Rosję i ogłoszą wolne Król. Polskie. Rzeczywiście dn. 3. listopada 1916 zjechała do Berlina deputacja polskich aktywistów, od których dowiedzieliśmy się o zamiarach rządów niemiecko-austrjackich. Część mych kolegów parlamentarnych uważała to ogłoszenie Król. Polskiego za nieszczęście. Ja osobiście byłem innego zdania. Użyłem porównania, że naród, który wolność utracił, powinien odzyskanie jej przyjąć choćby z rąk szatana, byle za to szatanowi nie zapisywał swej duszy. Za nieszczęście uważałem raczej li tylko projektowane stworzenie t. zw. armji narodowej, któraby dobrowolnie krew przelewała za sprawę niemiecką. Aby ten rachunek Niemcom perzkreślić, wygłosiłem dn. 4.XI.1916, a więc w przeddzień ogłoszenia Król. Polskiego, w parlamencie niemieckim dłuższą mowę, charakteryzującą dosadnie haniebne postępowanie okupantów wobec polskiej ludności. W dniu ogłoszenia Król. Polskiego, 5.XI.1916, na ulicach Warszawy mowę tę publiczność skwapliwie kupowała. Rozpisany w kilka dni potem dobrowolny pobór do wojska polskiego, które miało walczyć w sojuszu z Niemcami, dał tak śmiesznie nikłe rezultaty, że okupanci myśl tworzenia tej armji porzucili. Gdyby wówczas społeczeństwo polskie było poszło na lep niemiecki, to kto wie, jaki obrót by były wzięły wypadki wojenne; bo narody walczące były wtedy (koniec 1916) już tak wyczerpane, że świeża armja 200000 ludzi mogła zaważyć na losach wojny tem bardziej, że Stany Zjednoczone Ameryki nie były się jeszcze zdecydowały na wojnę przeciwko Niemcom.

To też nieliczni aktywiści nasi rozdzierali szaty nad fałszywą rzekomo polityką większości społeczeństwa. Zainterpelowani, jak sobie właściwie wyobrażają skutki naszej interwencji wojskowej, przebąkiwali coś o tem, że powinniśmy liczyć na wdzięczność niemiecką, że wreszcie armja polska egzystująca w chwili zawierania przyszłego pokoju będzie mogła dużo zaważyć na szali wypadków. Odpowiedź nasza brzmiała: zbyt dobrze znamy Niemców, aby wierzyć w ich sentymentalizm lub przypuszczać, iż będą tak naiwni, że pozostawią tej armji jakąkolwiek samodzielność. I rzeczywiście próby zrobione przez legjony w kierunku otrzymania choć nikłej samodzielności ukończyły się za płotami drucianemi w Benjaminowie.

W połowie r. 1917 napisałem na mocy informacyj z Królestwa i Litwy obszerny memorjał wytykający niemieckim okupantom ich gwałty. Memorjał ten rozdzielony między członków rządu niemieckiego i parlamentu wywołał atak furji w generalnem gubernatorstwie warszawskiem. W odpowiedzi zarzucono Polakom niewdzięczność wobec uwolnienia Królestwa od okupacji rosyjskiej, a aktywistom polskim zdradę z powodu niedotrzymania obietnicy wystawienia armji.

W obszernej replice (sierpień 1917) odmawiałem aktywistom prawa występowania w imieniu narodu polskiego. Zaś na zarzut niewdzięczności odpowiedziałem: „na wdzięczność zasługuje tylko ten, kto coś uczyni dla innego osobnika z poświęceniem własnego interesu. Niemcy zdobyli Król. Polskie nie z życzliwości dla Polski, ale raczej wyłącznie w własnym interesie. Z tego Polacy wcale nie robią zarzutu; ale Niemcy powinni zrozumieć, że i naród polski tylko to uczyni, co odpowiada jego interesowi. Nie wda on się w wojnę, bo nie miałby przeciwko komu walczyć, gdy i carat i rząd rewolucyjny rosyjski uznali niepodległość Polski".

Aktywiści nasi, których tylko w Galicji była znaczniejsza liczba, ciągle próbowali wpłynąć na Koła polskie w Berlinie. Mianowicie z poręki ministra Bilińskiego delegacja posłów galicyjskich zjechała do Berlina, aby nas przekonać o szkodliwości wysuwania naszych pretensyj do rządu niemieckiego, gdyż to przyczynia się do pogorszenia sentymentu Berlina wobec przyszłej Polski. Odpowiedź połączonych Kół była oczywiście odmowna. Prawie wszyscy mówcy wykazywali, że wprawdzie zachowujemy w czasie wojny wobec rządu prusko-niemieckiego stanowisko pod względem

prawno-państwowym zupełnie poprawne (nieraz wbrew naszym uczuciom)—ale że nie możemy ani na chwilę dopuszczać myśli, iż dotychczasowy ucisk narodowy w zaborze pruskim może przetrwać i po skończeniu wojny.

W wysiłkach naszych, skierowanych ku ratowaniu sił ekonomicznych narodu, nie ograniczaliśmy się do publicznych występów na trybunie i w broszurach. Dosłownie w tysiącach wypadków interwenjowaliśmy na rzecz pokrzywdzonych rodaków u niemieckich władz lokalnych—i to nieraz bardzo skutecznie, bo bezprawie, jak zawsze, bało się hałasu.

Na komunikowanie się nasze z Królestwem rząd niemiecki nie pozwalał, odmawiając paszportów. Nareszcie znalazłem jednak sposobność (we wrześniu 1917) pojechania bez paszportu do Królestwa razem z komisją parlamentarną, której zażądał parlament wskutek niezliczonych skarg na gospodarkę okupantów. W Warszawie miałem sposobność uczestniczyć w posiedzeniu Koła międzypartyjnego, które dyskutowało nad tem, czy akceptować zamianowanie regentów. Ja oświadczyłem się bezwzględnie za akceptowaniem, wskazując na naukę historji z r. 1807. Wywodziłem, że po bitwie pod Jeną zapanował na terenie późniejszego Księstwa Warszawskiego, wskutek braku wszelkiej biurokracji, straszny chaos. Mając dziś w ręku regentów choćby tylko wymiar sprawiedliwości i szkolnictwo, będziemy mogli, gdy wojna się skończy, przynajmniej te dwie gałęzie państwowości polskiej mieć zorganizowane. Pełna poświęcenia działalność naszych prawników i pedagogów w Królestwie w ciągu r. 1918 sprawiła rzeczywiście, że odrodzona Polska w końcu r. 1918 nie znalazła się w stanie anarchji.

Pamiętny mi pozostanie dzień załamania się potęgi niemieckiej. Było to 26 września 1918. Jako członek komisji budżetowej parlamentu otrzymałem na jej posiedzeniu (publicznem) zawiadomienie, że odbędzie się zaraz tajne posiedzenie tejże komisji. Na temże posiedzeniu zakomunikował jeden z ministrów ku przerażeniu słuchaczy, że wedle „nie stwierdzonych jeszcze wiadomości“ front bułgarski się załamał i że Bułgarja prosi Koalicję o rozejm. Każdy z obecnych miał uczucie, że to koniec wojny; bo konsekwencją musiało być zwinięcie całego wschodniego frontu. To też już w 6 dni potem (2/X) przysłał Ludendorff adjutanta do komisji budżetowej parlamentu z żądaniem, aby bezzwłocznie ofiarować Koalicji rozejm...

WOJCIECH TRĄMPCZYŃSKI

DZIESIĘCIOLECIE ZAGADNIEŃ USTROJOWYCH W OBOZIE NARODOWYM

NARÓD Polski wznosił pierwsze zręby budowy państwowej podczas wojny na wschodzie, a w przededniu rozstrzygających rokowań na zachodzie. Od tego, czy okażemy trzeźwy zmysł polityczny, pojęcia zgodne z praworządną demokracją i solidarność narodową, czy też popiszemy się kłótnią, egoizmem klasowym i zaślepionem doktrynerstwem, zależała odpowiedź na stare napoleońskie pytanie, wciąż jeszcze żywe w opinji świata: czy Polacy godni są być narodem? Czekano przytem na dowód, że Polacy chcą współpracować z ludami zachodu nad ugruntowaniem nowego porządku rzeczy po pogromie państw centralnych, czy że dali się okupantom związać duchowo z ginącą ich potęgą. Przez cztery lata z Warszawy i Krakowa rozchodził się głos niefortunnej, coraz szczuplejszej kliki politycznej, skupionej przy Naczelnym Komitecie Narodowym i Radzie Regencyjnej, jakgdyby poza tymi ludźmi Polska innego mózgu i serca nie miała. Ostatni był czas przemówić z głębi duszy wołaniem miljonów, i zaświadczyć, że naród trzyma z tymi mężami, którzy pod wodzą Dmowskiggo stworzyli Komitet paryski i sprawę polską z losami koalicji wersalskiej związali.

Zbliżał się kongres i nietrudno było zgadnąć, że na nim położą rękę te same czynniki międzynarodowe, które narzuciły Francji rozejm i przez to uratowały Rzeszę Niemiecką. Na takim kongresie przedstawiciel Polski winien mieć poparcie najszerszych warstw, więc warstwy te powinni się za nim solidarnie opowiedzieć. W takim momencie było prawem i obowiązkiem kół narodowych, których wykładnikiem w Paryżu był Komitet Dmowskiego, ująć rząd w swe ręce, i każdy Polak bez względu na swą przeszłość, ojentacje i przynależność klasową, winien był obozowi narodowemu dać bezwzględne poparcie.

Życie jednak nie płynie torem obowiązku, a naród polski w r. 1918 nie składał się z dojrzałych, wiernych sług ojczyzny. Ogromne rzesze dopiero budziły się do życia obywatelskiego, ludzi niezdolnych do poświęceń nie brakło ani u góry, ani u dołu; tu i owdzie powiew rewolucji bolszewickiej zarażał robotnika i chłopa. Do duszy tych warstw, zwłaszcza do duszy robotników socjalistów, dzierżył najlepszy klucz dawny ich towarzysz, nauczyciel patrjotyzmu, ich chluba, ich nadzieja, Józef Piłsudski.

Obóz narodowy nie mógł przed samym Kongresem wersalskim rozpalać w kraju wojny domowej o władzę, nie mógł rzucać warstw upośledzonych w ramiona komunizmu. Jak na zachodnie podczas wojny, tak u nas w chwili narodzin państwa nakazem moralnym była *union sacrée*, święcony związek obywateli.

Pod tem wezwaniem dokonało się budowy naszego ustroju.

AKT PIERWSZY

Gabinet Józefa Świeżyńskiego rozumiał, że póki ma władzę od Rady Regencyjnej, póty jest tylko rządem tymczasowym; dopiero gdy go uznają wszystkie dzielnice i warstwy, stanie się wyrazem woli narodu i zyska posłuch u mocarstw koalicji. Pierwszy zawód zgotował mu Kraków, w którym większość stronnictw galicyjskich (socjaliści, ludowcy i demokraci) nie chciała uznać władzy rządu warszawskiego. Gabinet zapowiedział prędkie wybory do sejmu i zdecydował się oprzeć ordynację wyborczą na najszerszem, pięcioprzymiotnikowem prawie wyborczem, bo tylko pod tym warunkiem można było liczyć na „świętą zgodę“ z socjalistami i ludowcami. W imię tejże zgody zachowano tekę spraw wojskowych i naczelne dowództwo dla wracającego z Magdeburga Piłsudskiego. Odpowiedzią na te braterskie gesty był manifest rządu lubelskiego zapowiadający rewolucyjne, półbolszewickie „reformy“ społeczne: wywłaszczenie ziemian bez odszkodowania, upaństwowienie kopalń i lasów, tworzenie milicji zamiast wojska regularnego i t. p. Ludzi,

głoszących takie hasła, Piłsudski po przybyciu do Warszawy powołał do rządu; z innymi współpracować nie chciał.

Przez dwa miesiące „moraczewszczyzna" rzucała w skiby polskie ziarno zmieszane pół na pół z kąkolem. Inflacja, etatyzm, rozkiełznane wolności, i niezniszczalne apetyty klasowe, zamachy na własność prywatną i wogóle na praworządność wiodą swój ród z tych miesięcy. Ekperymentom w polityce wewnętrznej odpowiadały wahania nazewnątrz między Paryżem i Berlinem, tudzież niedbała obrona Lwowa.

W połowie stycznia Moraczewski ustąpił, a jego program padł na wyborach powszechnych. Wyszło na jaw, że cztery piąte części narodu nie chcą systemu rządów, który im narzucił Naczelnik Państwa.

W każdem innem położeniu każdy inny naród byłby odtrącił czynniki, które nie chcą słyszeć tętna jego przekonań i ideałów. Polska przed Kongresem pozwolić na to sobie nie mogła: opinja jej była niezorganizowana, jeszcze najlepiej gotowe do czynu — elementy wywrotowe. I oto twórcy przymierza Polski z Koalicją, dn. 20 lutego 1919, oddają głosy na tego samego Naczelnika Państwa, jednocześnie dopuszczając jego ajentów do udziału w delegacji polskiej na Kongresie. Zarazem jednak, aby kraj uchronić przed nową „moraczewszczyzną", układają tymczasową konstytucję, gdzie suwerenną władzę przyznają narodowej reprezentacji, a Naczelnika Państwa na równi z rządem czynią odpowiedzialnym wykonawcą woli tejże reprezentacji. Tak samo Sejm Czteroletni, ująwszy w swe ręce politykę zewnętrzną i wewnętrzną Polski, zarezerwował sobie władzę najwyższą nad armją, dyplomacją i administracją.

AKT DRUGI

Miał za treść już nie budowę tymczasowego dachu nad głową, ale wzniesienie na mocnym fundamencie stałego gmachu konstytucji. Ktokolwiek porówna wynik prac Sejmu ustawodawczego z projektami, jakie wniosły stronnictwa, musi uznać, że w sprawach, wywołujących głębsze różnice zdań, o wiele częściej zwyciężała prawica, niż lewica. Prędki czytelnik gotów stąd wywnioskować, że ponieważ konstytucja jest zła, więc za to zło prawica cięższą ponosi odpowiedzialność, niż lewica i jej ówczesny zakulisowy poplecznik, Naczelnik Państwa. Byłby to jednak wniosek bardzo lekkómyślny.

Sejm ustawodawczy pod wpływem parcia ku reformie rolnej rozłamał się na dwie niemal połowy: narodową prawicę i radykalną lewicę. Społeczeństwo o wyższej kulturze politycznej i silniejszym charakterze zasiliłoby nieznaczną większość prawicową, zmuszając chwiejne grupy sejmowe do zgodnego działania z narodowcami. Nasza wątła opinja na to się nie zdobyła. Dwa klubiki, zwane dlaczegoś jeden klubem Pracy Konstytucyjnej, drugi Zjednoczeniem Mieszczańskim, wolały bawić się w „centrum", niż położyć swój ciężar na szalę interesów narodowo-państwowych. Pamiętne będą walki, które narodowa większość naszej konstytuanty staczała z lewicą, pragnąc ojczyzny „byt niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekuistych zasadach prawa i wolności". Pamiętny także i do dziś dnia ciążący nad Polską niezupełny sukces narodowców w tej walce. Przyjdzie czas, kiedy bezstronna historja oświetli te rzeczy naukowo. Na razie trzeba oczyścić z bałamuctwa i upamiętnić fakty następujące:

1-o Co do stanowiska Prezydenta Rzplitej. Słychać powszechnie, że obóz narodowy przez osobistą niechęć do J. Piłsudskiego dążył do osłabienia powagi szefa władzy wykonawczej, której jakoby broniła lewica. W rzeczywistości sprawa miała się inaczej.

Z pewnością nie wzbudzał u nas zaufania polityk, który wbrew narodowi stworzył w r. 1918 rząd Moraczewskiego, w r. 1920 na mylnych rachubach oparł wyprawę kijowską, a w r. 1921-22 wbrew narodowi w imię jakiegoś utopijnego federalizmu przeciwdziałał bezpośredniemu wcieleniu Wileńszczyzny do Państwa Polskiego i niedwuznaczną wolę przedstawicielstwa ludowego lekceważył. W okresie tworzenia granic Państwa trudno było zrzekać się władzy na rzecz czynników, które nasz związek z Wilnem i Lwowem próbowały rozluźnić. Czy ta nieufność do Naczelnika Państwa była uzasadniona, historja osądzi. To pewna, że wpłynęła ona na los artykułów Konstytucji, określających położenia prezydenta Rzplitej.

a) Stronnictwa radykalne chłopskie i robotnicze, myśląc o Piłsudskim, pragnęły obioru prezydenta przez powszechne głosowanie. Socjaliści pragnęli przeszczepić do Polski system amerykański, tj. obiór przez specjalnych elektorów, system który w swej ojczyźnie rozplenił korupcję i geszefciarstwo, a w innych republikach amerykańskich doprowadził walki partyjne do dzikiego wyuzdania. „Wyzwolenie" radziło jeszcze gorzej, bo zalecało bezpośredni plebiscyt. Jeżeli w dawnej szlacheckiej Polsce tłumna elekcja królów wciągała do kraju wpływy postronne i kończyła się nieraz wojną domową, to w Polsce ludowej obiór prezydenta przez masy analfabetów i przez miljony niepogodzonych z państwem „mniejszości narodowych" rokował niespodzianki jeszcze gorsze. Obóz nasz takich niespodzianek nie chciał, więc wprowadził do konstytucji system francuski, tj. obiór przez Zgromadzenie Narodowe, i system ten, wbrew ostrzeżeniom przeciwników, nie uczynił żadnego prezydenta narzędziem większości, która go obrała.

b) Rzeczywista powaga szefa władzy wykonawczej zależeć miała od prerogatyw, które mu przyzna konstytucja, a nie od sposobu obioru. Tu właśnie przeciwieństwo między Naczelnikiem Państwa i większością narodową Sejmu przyniosło rezultat ujemny. Zamiast ugruntować zupełną równowagę władz, utrzymano przewagę Sejmu nad prezydentem i rządem. Nie przyznano prezydentowi prawa rozwiązywania izb, uzależniono zbytnio ministerjum i każdego ministra od doraźnego *votum* nieufności Sejmu. Zresztą nieprawdą jest, jakoby zdrowszych zasad broniła strona przeciwna: ani „Wyzwolenie" ani P. P. S. nie żądały dla prezydenta prawa rozwiązywania izb, ani też nie myślały o wzmocnieniu pozycji rządu wobec tychże.

c) Zato broniła lewica zasady, by prezydent mógł być jednocześnie naczelnym wodzem na wypadek wojny, innemi słowy, aby naczelnego wodza nie można było pociągać do odpowiedzialności. Do tej niedorzeczności prawica nie dopuściła.

2-o Nauczony doświadczaniem wieków, obóz narodowy w Sejmie Ustawodawczym robił co mógł, aby parlament oprzeć na zdrowych podwalinach.

a) Do tego niezbędne było ustanowienie Senatu, któryby hamował skrajne zapędy Izby poselskiej i poprawiał jej błędy. Lewica zbliżona do Naczelnika Państwa, a ślepa na przykład wielkich demokracyj zachodu, użyła wszystkich środków godziwych, i niektórych niegodziwych, byle do ustanowienia Senatu nie dopuścić. Wówczas trudno było bez rumieńca wstydu czytać gazety o wybrykach socjalistów i wyzwoleńców przeciw Senatowi: dziś niektórzy z nich sami po cichu wstydzą się swego zacietrzewienia. Gdy centrum tchórzyło, a kraj milczał, otrzmaliśmy w skutku Senat

upośledzony, niedorozwinięty, który jedynie dzieki swemu marszałkowi Trąmpczyńskiemu znaczną zdobył powagę.

b) Gdy doszło do obrad nad podstawami prawa wyborczego, sam jeden Związek Ludowo-Narodowy, usiłował podnieść wiek wyborców do lat 25 (tem samem zrównać prawa tych, co służą i co nie służą w wojsku), wiek zaś posłów podnieść do lat 30. Lewica z piłsudczykami była za utrzymaniem najniższego cenzusu wieku (lat 20). Decyzja zapadła pośrednia, skutkiem czego niedojrzali wyborcy (od lat 21) wybierali niedojrzałych posłów (od lat 25).

3-o Bez należytego poparcia z Belwederu, owszem, wśród ciągłej z nim szarpaniny, obozowi narodowemu zabrakło sił — a niekiedy brakował i doświadczenia, aby wszystkie kwestje konstytucyjne należycie w Ustawie 1921 roku rozwiązać. Zwłaszcza praworządność i zdrowa gospodarka państwowo-społeczna na tem dużo cierpiały. Ale od ilu lekkomyślności, eksperymentów lub wręcz szaleństw udało się narodowcom ocalić wówczas Polskę, to także musi historja zliczyć, jeżeli zechce wymierzyć sprawiedliwość tym, co walczyli w Sejmie Ustawodwczym o Polskę i tym, co walczyli o... „demokrację“.

Bądź co bądź po ujawieniu błędów musiał nastąpić

AKT TRZECI

Akt naprawy. Zwiastunami jego były liczne w prasie i w publicystyce głosy krytyczne, czasem aż nazbyt krytyczne o marcowej Konstytucji. Pierwsi ganili ją ci, którzy jej nie uchwalali, zwłaszcza prawnicy krakowscy z obozu „stańczyków“. Zaraz po nich, wszechstronniej i z pełnem poczuciem odpowiedzialności przemówili pisarze obozu narodowego. Bo też pierwsze lata życia konstytucyjnego Polski (1921 — 24) przekonały, że nas na angielskie czy też francuskie formy parlamentaryzmu nie stać. Nie zdobyliśmy się na wyraźną większość przekonaniową, z którejby czerpał siłę rząd parlamentarny. Wybory w 1922 r. dały krajowi Sejm bez stałej większości, w którym tylko piastowcy chcieli współpracować z obozem narodowym („ósemką“), zaś socjaliści i wyzwoleńcy z tkwiącymi w klubach piłsudczykami woleli robić opozycję razem z mniejszości narodowemi. Główną uwagę Sejmu i rządu pochłaniały trudności finansowo-gospodarcze. Porając się z niemi, stronnictwa narodowe próbowały kosztem wielkich ofiar ze swych programów ugruntować rządy polskiej większości w Polsce, podobnie jak w każdym kraju europejskim rządzi taka lub inna większość narodowa, a nie międzynarodowa. Trzykrotnie usiłowania te niszczyła tajemna zła wola. Nietylko naprawa Konstytucji, ale jej rozumne stosowanie w życiu spotkało się z doktrynerskim, niechętnym oporem lewicy, jakby komuś zależało na skompromitowaniu parlamentarnego ustroju państwa. Zapamiętać bądź co bądź trzeba, że obóz narodowy pierwszy udzielił rozległych pełnomocnictw rządowi (w styczniu 1924) i pierwszy (w początkach r. 1926) zainicjował dwa ważne ulepszenia, mianowicie nadanie prezydentowi prawa rozwiązywania izb, tudzież zmianę ordynacji wyborczej. Lewica wraz z tkwiącymi w niej piłsudczykami umiała tylko demonstracyjnie żądać, aky Sejm rozwiązał się własną uchwałą. A kiedy obóz centrowo-prawicowy (z piastowcami) rozszerzył się na Narodową Partję Robotniczą, kiedy zabłysła jednym nadzieja, drugim obawa, że Polska mocno i rozważnie ruszy z martwego punktu w kierunku narodowym, nastąpił przewrót 11—15 maja.

Pod jednym względem stał się ten przewrót niewątpliwem dla Polski szczęściem. Część czynników, które dotąd osłabiały rząd i psuły pozytywną pracę, dorwawszy się do władzy, uwierzyła i kazała uwierzyć innym, że ona wyprowadzi Polskę z anarchicznego „sejmowładztwa“ i „partyjnictwa“ ku mocarstwowej przyszłości. Niczego więcej nie pragnęły pokonane stronnictwa prawicy i środka. Troszkę dobrej woli, trochę śmiałości, trochę mniej przesądów i uprzedzeń, a Polska otrzymałaby w r. 1926 lepszy rząd, odpowiadający jej potrzebom i zapewniający stanowisko równorzędne z mocarstwami Zachodu. Zwycięzcy zapragnęli tylko takich zmian, któreby im samym zapewniły samowolę nad głową sponiewieranego Sejmu. Móc rozwiązywać parlament, dekretować ustawy, mieć prędko uchwalony budżet — oto szczyt ich marzeń. Zwyciężeni domagali się przebudowy nierównie głębszej. W szczególności Związek Ludowo - Narodowy (25 czerwca) wnosił:

zapewnienie państwa niezbędnej siły zbrojnej,

zrównanie praw obu Izb w zakresie ustawodawstwa oraz kontroli nad polityką zagraniczną,

podniesienie wieku wyborców do Sejmu (lat 25) i posłów (lat 30),

skasowanie obowiązującej dotąd proporcjonalności wyborów z dopuszczalnym wyjątkiem dla części kraju o ludności mieszanej,

uchylenie nieodpowiedzialności posłów w czasie między sesjami,

nadanie Prezydentowi Rzplitej prawa rozwiązywania Izb oraz odjęcie Sejmowi prawa samorozwiązalności,

ukrócenie ingerencji sejmowej w tok administracji oraz wymiaru sprawiedliwości,

prosty sposób rozstrzygania konfliktów o ustawy między Sejmem i Senatem,

jasny przepis, zapewniający uchwalenie budżetu w ciągu czterech miesięcy,

ustanowienie Rady Stanu,

veto zawieszające w ręku Prezydenta,

prawo dekretowania ustaw w ręku tegoż przy asystencji Rady Stanu, a pod kontrolą Izb i z zastrzeżeniem uchylania dekretów z mocą ustawy przez każdą Izbę z osobna,

przepis, wzmacniający pozycję rządu: aby Sejm uchwalał wniosek o wyrażenie nieufności większością głosów ustawowego kompletu posłów,

wprowadzenie sądów ławniczych (a niekoniecznie wszędzie przysięgłych),

ustanowienie Trybunału Konstytucyjnego.

Podobne wnioski zgłosiły: Chrześcijańska Demokracja, Stron. Chrześc.-Nar. i P.S.L. Piast. Nie pytaliśmy, kto stoi u władzy, i kto tej wzmocnionej władzy, choćby na nasze pognębienie, użyje. Dla dobra jutrzejszej Polski chcieliśmy wyzyskać jedyną chwilę, kiedy można było zmienić Konstytucję bez dalszych krwawych zamachów—gdyby tylko nawróceni na państwowość radykałowie chcieli użyć „bata“ na radykałów nienawróconych. Nic z tego nie wyszło. „Endeckiej“ inicjatywy nie poparł żaden sanator. Myśmy poparli i przeparli wszystkie pomysły „sanatorów“ korzystne dla Polski.

*

Minęły dwa lata. Mijają tłuste lata pozornego dobrobytu, wraz z niemi pierzcha złudzenie, jakoby się godziło dla pełnej chwilowo kieszeni zapomnieć o własnym ideale życia państwowego. Polska czeka na usprawiedliwienie majowego zamachu, czeka na

prawdziwą, poważną reformę ustroju. Widzi na razie po jednej stronie wieżę Babel najsprzeczniejszych pomysłów, skłębionych we wspólnej wylęgarni „Bezpartyjnego" Bloku, po drugiej widzi wielki wysiłek uczciwej, jednolitej myśli konstrukcyjnej w nowym programie Stronnictwa Narodowego. I Polska wie, że gdy izby przystąpią do głosowania nad naprawą Rzplitej, to w tych szeregach każdy spełni swój obowiązek.

Kraków WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

POLSKA W OCZACH ZACHODU

II

ZAZNACZYLIŚMY, że sprawdzianem popularności Polski zagranicą może być najpierw: Polak czy Polka w literaturze zagranicznej, w powieści czy na scenie, a po drugie: literatura polska zagranicą.

Otóż jest rzeczą wprost zagadkową, wprost zdumiewająco dziwną, niepokojąco tajemniczą, że od lat dziesięciu poprostu niema Polaka ni Polki ani w powieści ani w sztuce żadnego piśmiennictwa zachodniego, albo jeżeli są, to w bardzo ujemnem świetle, względnie jako nic nie znaczące epizody. Po rozbiorach bywały w Anglji (Porter: „*Thaddeus of Warsaw*") po 31-szym roku w Niemczech i we Francji (Balzac, Saint-Beuve, Murger), po 63-cim w Rosji, przed wojną liczne w Niemczech (Sudermann, Halbe, Heyse), sporadycznie we Francji (Cherbuliez, Farrére) w Anglji (Stevenson, Bernard Shaw), ale bądź co bądź w każdym razie przewijały się tak, że możnaby z tego małą biblioteczkę skolekcjonować. Po wojnie europejskiej jak nożem obciął. Polak wchodzi na scenę polityczną, ale schodzi i znika z beletrystyki i z komedji. Zdawałoby się, że zmartwychwstanie narodu, fakt ogólnoludzki, radosny da impuls twórczy całemu szeregowi pisarzy, że natchnie ich i rozegzaltuje dla nas przyjaźnie. Nic z tego. Jest to tembardziej zdumiewające, że w ostatnich latach ma miejsce poprostu formalna wędrówka narodów w miniaturze, to jest masowe przerzucanie się beletrystów z jednych do drugich krajów, jakieś gorączkowe poszukiwanie obcości, inności, cudzoziemskości przy dość wyraźnem, jeżeli już nie obrzydzeniu, to znudzeniu się swojemi podwórkami i opłotkami. Nie mówimy już o angielskich autorach, którzy uganiają po kolonjach i dominjach i z najdalszych peryferyj ściągają swe tematy. W Paryżu jest atoli poprostu kilkunastu, nazwijmy ich *sleepinggigantów*, którzy ciskają się po całym globie jak oparzeni i fabrykują herosów i heroiny z Kurdów, Kulisów, Batawów, Metysów, Chaluców, murzynów, kucowałachów, Islandów, piszą powieści z Węgier, z Polinezji, z Kongo, z Rumunji, Irlandji, Finlandji, Tybetu, Transvaalu, no i oczywiście z Klondyke tematów, z Sowietów. Bohaterowie tych powieści bywają maści czarnej, żółtej, czerwonoskórej, bywają żydy, mormony, chazary, „falasra" (Senussi Abissyńscy), peruwianie, meksykanie. Szczególnie grasuje w Paryżu obecnie moda na bohaterów czarnej maści, przeciwstawianym „czarnym charekterom" z białej rasy. Żydowski uczony Levy Brühl (człon. Akademji) bada naukowo mentalność i psychikę senegalskiego „mięsa armatniego", a wśród pisarzy entuzjazmujących się, zresztą i słusznie, czystą duszą negrów, obok blagierskiego Moranda, jest patetyczny w swym humanitaryzmie ale poważny André Gide, jest L. H. Royer, autor „*La Maitresse Noire*" jest Filip Soupault, autor „*Le Négre*" i wielu innych. Kongo i Batualę tedy już odkryli beletryści francuscy; Polski jeszcze nie mieli ni czasu, ni okazji.

W angielskiej hyperprodukowanej powieści bywa i przewija się moc Francuzów, Włochów, Hiszpanów, we francuskich komedjach moc Anglików, we włoskich powieściach: Turcy, Niemcy, Hiszpanie, wszędzie Amerykanie, wszędzie Rosjanie, dawni carscy i dzisiejsi sowieccy; tu i owdzie zjawia się Serb, niekiedy Czech! ba Ukraińcy nawet! ba Litwini! Polak lub Polka, postacie omal konwencjonalne w złem lub lepszem świetle przed wojną, po wojnie... nigdzie, w angielskiej i włoskiej literalnie nigdzie, a we francuskiej od czasu do czasu, ale tak, że lepiejby było, żeby ich nie było; albo znowu jest w tytule a w osnowie ani śladu, jak n. p. w J. Casson, drukowanych w „Candidzie": „*Les Amants polonais*", albo w P. Benoit „*Albertine*" bohater niby Polak z pochodzenia, ale jedną kreską nie naznaczone co w nim polskiego. W zaczętej i naszkicowanej ostatniej komedji de Flersa „*Les Precieuses de Genéve*" wszystko obraca się koło losów i mapy Sarmacji (traktowanej, nawiasem mówiąc, zgoła jak bałkańska Serdania z „*Le Roi*"), ale Polaka w *personnage*'u niema, tak jakby to był w dzisiejszym Paryżu „*sujet ingrat*", „*ein lästiger Ausländer...*" niemile widziany. W powieści Gravilliers'a o Lidze Narodów („*La Belle Endormeuse*"), gdzie też się często zatrąca o problem polski, galerja typów paneuropejskich poprostu zdekompletowana jest przez brak Polaka czy Polki, koniecznych chyba na takim międzynarodowym kiermaszu. W angielskiej komedji o Komedji Genewskiej, w Reginalda Berkley'a „*Listeners*" („słuchacze"), bombie, granej w Londynie w sezonie 1928 jest wprawdzie Polka... księżniczka Wanda Meretińska (*sic*), patrjotka gorąca, kochająca się w agencie niemieckim, bolszewiku Sergjuszu, kokietująca dla dobra ojczyzny młodego lorda-dyplomatę, wreszcie zabijająca tegoż Sergjusza, ale jak w nazwisku, tak i w psychice i obyczajowości tej „Immetyńskiej" niema źdźbła polskości, no i zaszczytu nam ta dama z bomby nie przynosi. Są natomiast Polacy w prolitewskim pamiętniku powieściowym Jeana Manclewic'a: „*Sous le ciéle pâle de Lithuanie*" (gdzie już do Litwy dołączono Wilno, Grodno, Mickiewicza i Moniuszkę[1]). I są niestety Polacy, oszkaradzeni w księżnej Bibesco („*Catherine Paris*") powieści, która miała dotychczas 45 wydań francuskich, dwa angielskie! z której rzucono na Francję odświeżone jakby hasło-ostrzeżenie: *on n'epouse pas un Polonais*'; próba obrony tej, jeżeli już nie antypolskiej, w każdym razie anti-małopolskiej powieści tak ośmieszającej rodziny Radziwiłłów i Potockich, przedsięwzięta przez p. Ludw. Puszeta, nie miała akcentów przekonywujących. Przykre jest, że jeszcze inna Paryżanka egzotycznej prozapji, modna nad Sekwaną żona meksykańskiego dyplomaty, a znowuż Ormianka pani Armen Ohanian również w książce swej p. t. „*Dans la 6-e partie du monde*" (podróż po Sowietach) również w kilku miejscach zaatakowała nas dotkliwie.

[1]) Również stanowisko prolitewskie zajęli dwaj profesorowie prawa międzynarodowego, t. j. znakomity jurysta Lapradelle oraz prof. Lefur, którzy wraz z prof. Mandelstamem, byłym rosyjskim kadetem, wydali wspólną broszurę na ostatnią wrześniową sesję Ligi Narodów, negującą ważność decyzji Konferencji Ambasadorów z 15 marca 1923.

Mając do wyboru kompletne przemilczanie, obojętność, wyobcowanie i sabotaż, a taki paszkwil jak rumuńskiej księżniczki (ze sojuszniczego narodu!) i taką galerję figur jak jej „Leopolscy" ze „Zamościa", raczej już przekładalibyśmy to pierwsze: przemilczanie.

Dziesięć lat mija odkąd istnieje państwo polskie, a o „Polakach tak na świecie głucho"..., my się kręcimy po Europie, do nas raz po raz zajeżdżają Claude Farrère, Mann, Balmont, Mereżkowskij, Duhamel, Rohan, Erenburg i nic a nic albo bardzo niedobrze. Miał przyjechać angielski dramaturg John Drinkwater (autor „Lincolna"); brukowce gadzinowe nałgały, że chce poznać naszą wielkość i potem kropnąć dramat *ad maiorem Judaei gloriam;* nie przyjechał ale obiecał wystawić w teatrze w Birmingham Wyspiańskiego: „Sędziów"; czekamy. Miał przyjechać czarujący pisarz Galsworthy, ale natrafiwszy na moment meksykański cofnął się i pojechał... do Budapesztu. Był natomiast G. K. Chesterton, nasz wypróbowany, zacięty, namiętny, przekorny przyjaciel. Pobył w Polsce stosunkowo dłużej, poznał moc ludzi i ich dzieło, agitowany był najmiłościwiej, aby napisał polską powieść z bohaterem wilnianinem (*sic*) i bohaterką krakowianką (*sic*), aby czarno odmalował Warszawę (*impsissima verba G. K. C.*). Wreszcie wrócił do Anglji i powieści ...nie napisał.

Mimowoli przypominają się słowa znakomitego myśliciela francuskiego, aforysty Amiela, które wywlókł przeciw nam znowu Leon Bopp dwa lata temu w swojej monografji („*H. F. Amiel. Essay d'après des documents inédits*". *Paris. Alcan* 1926). W starym artykule Amiela z r. 1848 w „*Bibliothèque Universelle*" drukowanym („*Berlin après la révolution*" 1848) czytało się co następuje:

„Polacy, naród świetny i niedojrzały zarazem, wzbudzają we mnie podziw mieszany z żalem. Naród ten nazbyt ruchliwy aby zamrzeć, z drugiej strony nie ma sił do życia. Dlaczego tak się dzieje, że naród polski symbolizuje anarchję? Francja zna tylko arystokrację polską i do tego zna wyłącznie jej zalety rycerskie, stąd czułe sympatje Francuzów dla Polaków...

Niechby jednak Francuzi zobaczyli Polaków w Polsce takich jakimi są, a nie jakimi się wydają, niechby przyjrzeli się miljonom, a nie poprzestali na oglądaniu kilku jednostek ze stanu szlacheckiego, założyłbym się, że wówczas niedługo trwałyby francuskie złudzenia".

Ta nieznana we Francji wróżba H. F. Amiela niestety zbyt często i zbyt silnie zaczęła się sprawdzać. Gdy się ma skolekcjonowane te wszystkie negatywne osądy francuskie z pierwszego dziesięciolecia państwowego tej Polski, która nie umiejąc „sprzeciwić się złu" pozwoliła biernie na wyeliminowanie z życia, zdeptanie i skalumnjowanie całego obozu przeciwniemieckiego, istotnie wypada się zdumiewać, jak mogło dojść ostatecznie do tego, że przedewszystkiem w narodzie, który z nami jest w aljansie, powstała w krótkim czasie poprostu bibljoteka podręczna książek, broszur i numerów pism z fatalnemi i negatywnemi o nas orzeczeniami.

Składają się na to różne czynniki. Jednym z pierwszych oczywiście jest niewiara szerokiego ogółu w konsolidację i stabilizację stosunków w Polsce, niewiara, i to niesłuszna, w skrzepnięcie sił takie, któreby dawało i pełne, assekuracyjne militarne gwarancje. Naszą słomianą, impetyczną kłótliwość, zadzierzystość, frakcyjność i fakcyjność bierze się tam zdaleka nie za coś przemijająco-powierzchownego, ale za wady permanentne, nie znikające w momentach historycznokrytycznych.

Pod wpływem tego to na fikcji i złudzie opartego sceptycyzmu rozrosła się do niepomiernych rozmiarów istna psychoza t. zw. *rapprochement* z Niemcami, podpierana z jednej strony przez industrjalną, wielkokapitalistyczną prawicę, z drugiej strony przez skrajną internacjonalistyczną lewicę. Awangardzie prawicowych rzeczników *rapprochement* z Niemcami dostarczyli materjału ideologicznego Robert i Alfred baronowie False-Lure, bogacze i melomani polityczni, J. Bonnamour („*Le rapprochement*") M. Pernot („*L'Allemagne d'aujourd'hui*"), zmarły niedawno Wladimir d'Ormesson („*La Confiance en l'Allemagne*"). Są to, jak i inne jeszcze wydawnictwa z „*Les Documents Bleus*" „*Vers l'Unité*", publikacje z pretensjami do stworzenia, „*La Droite Nouvelle*". W literaturze współpracuje z tem ideowo cały szereg piór doskonałych, jak Marcel Schol, E. Jaloux, Lichtenberger, krytyk literacki „hugonockiego" „*Tempsa*" Paul Souday, „*der Bekannte*". W „Matinie" protegują *rapprochement* to krzykliwy, wszędobylski Sauerwein (pendant p. Ehrenberga) to sam Henry de Jouvenel, protoplastów ideowych mają moc od Benjamin Constanta i pani de Staël aż do Renana, z wielu romantykami włącznie. Ci piewcy *rapprochement* mają nawet swój salon polityczny pani Saintreau z domu Bjornson-Langen. Dyrektor Gemier (który obiecał pono grać w tym roku „Nieboską Komedję") jest tego *rapprochement* fanatykiem... Z przeglądów mają do swej dyspozycji „*Revue Contemparaine*" i „*Mercure de France*". Ciąży do nich także cały szereg piór bezpartyjnych doskonałych.

Powieść Granvilliers'a o Lidze narodów inklinuje bardzo ku *rapprochement,* a to co bohaterowi jej, Jakóbowi mówi i wykłada w Berlinie na obiedzie „wielka osobistość" niemiecka, to są motywy bardzo kuszące, godne Massynissy z Irydjona... Rekordowe atoli objaty na ołtarzu germańskiego Odyna złożyli ostatnio dwaj renomowani autorzy, cieszący się, jeden wielką estymą w elicie (Giraudoux), a drugi wielką poczytnością w masach i w Europie (Benoit). I oto, podczas gdy Polska, dzisiejsza Polska I-wszej Brygady, dostaje od swego aljanta „*Catherine Paris*" i szereg paszkwilów Lac-Durtain,[1]) J. Renarda, Tourly, Etchegoyena i wielu innych, Niemcy czytają i tłumaczą sobie z rzetelną satysfakcją „*Siegfried et le Limonsin*" (r. 1922), Paryż oklaskuje to przerobione na scenę (r. 1928), a my dowiadujemy się z licznych recenzyj utworu perwersyjnego salonowca, wysokiego dygnitarza przy Quai d'Oray, nawiasem mówiąc i autora paszkwilu na Poincarégo („*Bella*"), że wszelki patrjotyzm jest przypadkową kwestją urodzenia, że dusza Francuza może być w ciele Niemca i odwrotnie, no i że wogóle pacyfikacja świata zależy od psychologicznego akkomodowania się do Niemiec... po urzeczywistnieniu oczywiście ich rewanżowych wschodnich dezyderatów. Jest zjawiskiem zdumiewającem, że książka i sztuka p. Giraudoux, przeciw której tak ostro wystąpiła część krytyków francuskich z René Doumic'iem i de Loménie'm na czele, potępiających kosmopolityczny exhibicjonizm niebezpiecznego w swej ideologji salonowca, zyskała u nas niespodziewanego apologetę w p. Józefie Jankowskim w „Dniu", dopatrującego się głębokich moralnych wartości w modnym paradoksiscie, idącym na rękę rządzącym w Paryżu nastrojom... Bardzo szpetnem *signum temporis* nastrojów paryskich jest ten Siegfried, ale jeszcze szpetniejszem *curiosum* jest chyba Piotra Benoit: „*Axelle*". Po dziesięciu latach aljansu doczekaliśmy się tego, że płodny gawędziarz, który swojej „śmisznie" demonicznej „*Antinei*", cukierkowej i filmowej wampirzycy afrykańskiej dał papę Polaka Żytomierskiego, wypiał w tej powieści popro-

---

[1]) Z okazji podróży po Rosji („*L'autre Europe. Moscou et sa foi*").

stu hymn-pean na cześć junkrów pruskich, na cześć rozmaitych generałów i pastorów, von Mirrbachów, von Reichendorffów, von Ellbingów i w rozczuleniu palnął sobie też taki ustęp:

„...Bernhard von Mirrbach poległ pod Tannenbergiem 29 sierpnia 1915 r. od odłamka granatu, tam, na tem samem miejscu, gdzie 5 wieków temu zginął komtur krzyżacki Stefan von Mirrbach, obrońca porządku europejskiego przed anarchią Wschodu"...

Mowa tu o bitwie pod Grunwaldem...

Zapytujemy czy może zajść dalej *folie du rapprochement* z Niemcami jak w p. Benoit bezecnej gloryfikacji prusactwa? Niestety może. I to na tym samym właśnie terenie, na ziemi Prus Wschodnich... Mamy tu znów na myśli radykała p. R. Tourly i jego broszury „*Le Conflit de demain*"...

Niezależnie bowiem od industrjalnej prasy, protegującej wspólne z Niemcami koncerny i trusty, pracuje też na tym samym terenie *rapprochement* i skrajna lewica. Ci rozszerzają swe serca także i na bolszewicką, dzisiejszą Rosję. Tu działa, krząta się, zbiera przeciw nam podpisy pod protestacyjnemi adresami, wzywa do krucjaty przeciw polskiej „*terreur blanche*" cały rój namiętnych Semitów ze Wschodu. Egerją tych Lewitów jest wypłowiała hjena radykalna pani Severine, a pomaga jej zięć p. Trauenstein „Lecache", autor kilku powieści („Tam gdzie Izrael umiera"). Ich pisma to „*Volonté*" (po Dubarrym) „*Quotidien*", „*Paris — Soir*" „*L'Oeuvre*" i komunistyczna „*L'Humanité*". W tych pismach są stałe rubryki poświęcone literaturze żargonowej i sjonistycznej (Pierre Bonardi) jak zresztą i w „*L'Intransigeant*"... ale o Polsce i Polakach albo nic albo zawsze najgorzej. Tu są kuźnice propagandy antypolskiej a progermańskiej. Tu przeciw nam agituje Żyromski. Z temi jaczejkami związani są tacy pisarze jak Margueritte, Pierre Hamp, Bazalgette, Al. Cremieux (wydawca „*L'Europe*"), pani M. Weiss (*direcrice* „*Revue Européenne*") Michel Corday, Descaves, Hadamard, Duhamel, Blum, Basch, Andrè Spire, Torres. Ostatnio zyskali oni sukurs i ze strony „polskiej" w powieści p. Merlaya (Muttermilcha) „*Lewi Jenesse*" i w p. Brunonie Jasieńskim, autorze „Szeli", drukującym w „*L'Humanité*" groźne *opus* przeciw terroryzmowi i tyranji w Polsce. Z tej to grupy Argonauci i żargonauci raz po razu jadą do moskiewskiej Kolchidy. A kiedy wracają po dłuższym pobycie, z łaski wstępują na krótko do Warszawy, poczem ten i ów lub owa odpowiednio nainstruowani napiszą coś pochlebnego o Marszałku Piłsudskim (co potem wnet czytamy w tłumaczeniu) a Polskę przy okazji zwykle lekko kopną (André Kollis, Merlet, Cheneviére... Duhamel). Tu też wliczyć należy świetnego, ale rzetelnie nas nienawidzącego Barbusse'a. Świetny pisarz, entuzjasta, przezacny Cazin jest zupełnym wyjątkiem...

I oto przeciw tej to dwuskrzydlatej proniemieckiej i probolszewickiej agitacji, mającej do swej dyspozycji kapitał, talenty pisarskie, międzynarodówkę i moc argumentów, wyrusza t. zw. propaganda polska.

Na te kampanje antypolskie wielkiej i licznej kompanji, zacięcie nam wrogich progermanów i probolszewików *antidotum* ma dać pono kilka polskich utworów, tłumaczonych pod patronatem *Pen-Clubu* (za co „Grecja płaci"). A więc w wydawnictwie „*La Renaissance du Livre*" świetny zresztą Goetla: „*Kar-Chat ou le premier neige*" poczem analogja „*Les Grande Poëtes*" (w tłumaczeniu W. Bugiela), poczem p. Kadena „Miasto Mojej Matki", p. Nałkowskiej: „Romans Teresy Hennert", poczem jeszcze jakaś firma wydawnicza „*Sans Pareille*"(?) ma wydać 12 tomów tłumaczeń, z „Wierną Rzeką" na początku, za co wszystko znów „Grecja płaci". Czy taka rządowo patentowana, popychana, protegowana i narzucana literatura może liczyć na jakieś sukcesy u francuskiej publiczności, o tem można wątpić. Jak fatalnie musiała wypaść próba z olśnieniem Paryża teatralnego czekoladowym Edypem „od Wedla", tak w całkowitą próżnię bezcelową wpadną też tomiki firmy „*Sans Pareille*". Nie tędy idzie droga z Warszawy do Paryża, a jest jeszcze wogóle kwestja, czy idzie jakakolwiek, czy to wszystko nie są „stracone zachody miłości". Czy tych książeczek choćby kilkanaście rzuconych na rynek francuski w jednym roku zdoła przełamać integralną obojętność publiczności francuskiej lub czy w sumie wszystkie rozsprzedane egzemplarze zdolne byłyby rywalizować z czterdziestoma pięcioma wydaniami paszkwilowej powieści rumuńskiej księżniczki? Pozwolimy sobie, godząc się całkowicie z p.J. Herlainem, stanowczo wątpić. Nie mają w sobie te dziełka jak i całe aktualne piśmiennictwo nasze ni dynamiki w poparciu dzisiejszego żywota polskiego, ni dynamitu w jego rozsadzaniu, ani nie są białe, ani czerwone, ani nie dyszą wielką miłością ani nie zioną twórczą nienawiścią, ani są z jutra ani z wczoraj (jak był Sienkiewicz), a są z pogranicza kulturalnego, z limitrofów, gdzie jeszcze nie całkiem zaczyna się Eurazja, a gdzie przeżuwa się wszystko, co spadło z bogato zastawionych stołów Europy. W tym całym prezentowanym dorobku były wielkie ambicje i pretensje europejskości, a może i paryzjanizmu, a w tem nic nie będzie z upragnionego tam, autentycznego „barbarzyństwa", egzotyzmu. Tu jak i wszędzie może zwyciężyć jeszcze tylko Ossendowski, dopóki daje Syberję, Tybet, Afrykę, ale nawet on ze swoją wszechświatową firmą, gdyby chciał świat uraczyć powieścią z Polski dzisiejszej o Polsce, to przegra. Albo tam bowiem nie umieją nas widzieć albo poprostu nie chcą wiele o nas słyszeć.

Weźmy na dowód kilka z brzegu encyklopedyczno-literackich wydawnictw ze stemplem ostatniej daty. Wychodzi we Włoszech autora Gino Gori gruby tom o „Współczesnym Teatrze"; o Polakach omal dosłownie nic; wychodzi drugi: Guido Robertiego: „*Storia del Teatro Contemporaneo*", 3 tomy, 1928; jest o teatrze holenderskim, węgierskim, czeskim, żydowskim, irlandzkim, o nas nic; wychodzą angielskie: „*A Dictionary of European Litterature*" (wydawca L. Rontledge 1928, autor Laure Magnus); portrety literackie 50 autorów rosyjskich, 11 czeskich, 5 polskich. Wychodzi Williama A. Drake: „*Contemporary European Writers*" (wyd. John Day); o polskich nic, podczas gdy n.p. równocześnie w popularnie encyklopedycznem wydawnictwie geograficznem „*Slandy Atlas of the World*" (pod dyrekcją Georgea Philipsa) z datą 1928, przy mapie Polski zaznaczono: granice jeszcze nie ustalone! Na sceny angielskie, włoskie, francuskie dawno już przedostali się autorzy węgierscy; po wojnie czescy (Czapek, Langer, Hasek), ba tureccy (Hanoum), litewscy autorzy dostali się na sceny Stockholmską i Helsingforską; my ledwie do Pragi i Brna. John Drinkwater obiecuje granie Wyspańskiego w Birmingham. Ale od ilu lat tak nam różnie obiecują i obiecują? O tej straszliwej obojętności angielskiej i o tej nieznajomości nas w Anglji rozpisuje się szeroko i boleśnie w „Przeglądzie Współczesnym" z sierpnia p. J. Krzyżanowski; w kołach filatelistów nawet, nawet „marki litewskie czy łotewskie są daleko bardziej poszukiwane, a więc i cenione od marek naszych", marek z marszałkiem Piłsudskim! I tutaj w Anglji jest taka Rosa Bailly, co chce te góry lodowe obojętności przełamać, serdeczna, szlachetna przyjaciółka Polski p. Mo-

nica Gardiner. Co jakiś czas wychodzi jakaś publikacja subsydjowana, jakaś broszura, jakieś tłumaczenie któregoś z romantyków (Krasiński). W świadomości pewnej części inteligencji tkwią nadal tylko obok znanego imienia Paderewskiego nazwiska: Reymont i Ossendowski. Inne wpadają w pustkę kompletnej głuszy. Kapią jakieś nieliczne prace, tłumaczone z polskiego w *„Slavonic Reviev"*, obok licznych czeskich i obok studjów z literatury bułgarskiej, serbskiej, kroackiej. Wizyta W. Sieroszewskiego w londyńskim *Pen-Clubie* oczywiście nie mogła tu w niczem pomódz, skoro się zważy, że intelekt to ni *representable* ni *respectable*, a na tle londyńskiego *clubu* raczej żenujący. Radykalni pisarze, albo nas wogóle nie widzą, albo tak jak Wells dzisiejszej Polski jako „falsyfikatu faszyzmu nie cierpią". Konserwatywni pisarze i pisma raz po razu wywlekają o nas dawne przykre osądy to Carlyle'a to R. L. Stevensona tego ostatniego w *„Travels with a Donkey in the Cevennes"* z r. 1879: „kraj czyśćcowy", „uosobienie bezładu i głupiego rozgardjaszu", „gdzie wszyscy się nienawidzą, obmawiają, spotwarzają i wzajem nie znoszą". W komentarzach do ostatnich mów p. Piłsudskiego zdania Stevensona znów cytowano. G. B. Shaw uważa nas za słowiańską parafrazę niezrównoważonych, kapryśnych, nieznośnych na trzeźwo i zdrowo obłędnych Irlandczyków. Ostatnio dużą poczytnością i recenzjami obfitemi cieszą dwa paszkwile na Polskę: świeży R. B. Hausena *„Polands Westward Trend"* (wydawca Allen Union Limited), oraz trzecie wydanie francuskiego potwornego paszkwilu *colonela* Etchegoyena (*„Pologne! Pologne"*), wydanie nie jakieś *hebrewsa* z Whitechapell ale jednej z najsolidniejszych firm nakładczych Fisher-Univers., która nawiasem mówiąc wydała też i prof. Dyboskiego mocno defektowny i partyjno-stańczykowski podręcznik o polskiej literaturze współczesnej, mówiąc drugim nawiasem kompletnie w prasie i przeglądach angielskich przemilczany.

Tem zaś jaskrawiej i boleśniej odczuwać się daje ta obojętność i ten dzisiejszy brak wszelkiego zainteresowania w społeczeństwie wielkobrytańskiem dla Polski, dla jej obyczajowości, mentalności, psychiki, literatury, sztuki, teatru i t. p., skoro się to porówna nie już z pedantycznem, permanentnem wałkowaniem wszystkiego, co się tyczy tych nibyto bojkotowanych i sabotowanych sowietów, ale z ciepłem, serdecznem, przyjacielskiem zainteresowaniem dla wszystkiego co czeskie, ba nawet co... słowackie; to też i potępienie przez całą prasę trójkrólestwa głupowato snobistycznej akcji promadziarskiej lorda Rothermere'a należy sobie tłumaczyć temi affektami i sentymentami współkombattantów jeszcze z czasów wojny. To też i „Taticzek Massaryk" jest jedną z najpopularniejszych postaci kontynentalnych na wyspie Johna Bulla, nietylko jako autor licznych dzieł tłumaczonych na język angielski, nie tylko jako myśliciel, socjolog, znawca literatury, ale przedewszystkiem jako *regent-gentleman.*

Pytanie teraz, czy byłoby wskazane, aby to angielskie „niewidzenie" nas na kontynencie, nie badanie *ex autopsia* naszego kraju, nie zajmowanie się naszą twórczością literacką i artystyczną, nie analizowanie naszej psychy etnicznej, nie wciąganie nas do galerji figur powieściowych czy komedjowych, nie skierowywanie turystycznych kompanji Cooka do Polski i wogóle to traktowanie *per non sunt* (przy pełnem zresztą dzisiaj patronowaniu politycznem)... otóż czy byłoby wskazane, aby ta ostentacyjna oschłość ludzi dla ludzi, społeczeństwa dla społeczeństwa zaczęła pewnego pięknego dnia ustępować miejsca intensywnemu zainteresowaniu się dzisiejszem społeczeństwem o psychice przejściowej — spaczonej, zabrudzonej fałszowanemi kultami, bagiennemi ideami i wierzeniami, zdegenerowanej, nienaskiej...

Pytanie nastręcza się, czy byłoby wskazane, aby biura Cook nakierowały tu swoje rzesze przelotnych ptaków i *globtrotter'*,ów aby pisarze i literaci angielscy zaczęli do nas tak zjeżdżać jak np. do Francji lub do... Indyj, aby młodzi *carle* zaczęli się żenić na gruncie z naszemi *countess*, a młode *misses* (nie dając wiary księżnej Bibesco) wychodziły za Sarmatów?

Otóż na razie lepiej: nie.

Sądząc po opinji, jaką sobie przez 10 lat zarobiła dzisiejsza Polska u naszych najlepszych na globie przyjaciół, t. j. we Francji: lepiej nie.

Niedobrze, nieładnie, niemiło bowiem prezentuje się naszym przyjaciołom ten kraj sojuszniczy, w którym marsz: *„Die Blauen Husaren"* (z pruskiej operetki *„König Midas"* berlińczyka Eulenberga) stał się rodzajem *„Brabançonne"* czy Marsyljanki. Niektórzy jeszcze pejzaż i miasta chwalą, a krzywią się na charakter „nowoczesnego", marszałkowskiego Polaka; innym wszystko nie przypada do gustu. Coraz częściej spotyka się w opisach ton litości i współczucia dla kraju „smutnego" i ludzi żyjących w przygnębiającej apatji... *„La Triste Pologne"*... I to jest bardzo bolesne, bo niestety coraz, coraz prawdziwsze...

ADOLF NOWACZYŃSKI

(Dok. nast.).

ROCZNICA

Wierzę w Boga i Lwów!

Serce wali jak młotem
I znów śni ranek ów,
Gdy krzepki mroźną bielą,
W słońcu się zbudził Lwów,
Wolny — z powrotem!

...A tam — pod Cytadelą,
Leżeli chłopcy pokotem,
Prości i biali.
...Jak młotem serce wali —
Lecz jakże mówić o tem,
Na co dziś niema słów?!

Wierzę w Boga i Lwów!

Lwów, 1928

MARYLA WOLSKA

LIBERUM VETO

Radykalizm głupi. — Czcigodny symbol. — Publiczne pranie brudów marjawickich. — Pomoc społeczeństwa w przywróceniu równowagi bilansu handlowego. — Dwa zgony.

RZECZPOSPOLITA i dyktatura, radykalizm i konserwatyzm, rozkiełznanie publicznego słowa i surowa cenzura, rybia płodność praw i bezprawie, bizantyńskie służalstwo i znieważanie zasług, piętnowanie i wieńczenie łotrów — do tego nieskończonego łańcucha sprzeczności, rozdzierających nasze życie, przybyła nowa para ogniw — nakazana religijność i usuwanie Krzyża. Ten ostatni pomysł ukazuje tyle idjotycznych twarzy, z ilu stron na niego spojrzymy. Pomińmy inne i przypatrzmy się z tego tylko stanowiska, do którego on zwraca się twarzą, w swojem przekonaniu, najmądrzejszą. Przypuśćmy, że cała organizacja życia państwowego i społecznego została przerobiona według modelu najradykalniejszego i bezwyznaniowego, czy w niej stracił swoje miejsce Chrystus? Bynajmniej. Przecie ta najszlachetniejsza, najwspanialsza, najpiękniejsza w historji postać—to nie tylko dla miljardów ludzi umarłych i żywych Syn Boży, ale również najdoskonalszy człowiek. Gdyby go zupełnie wyjęto z religji i jako ideał ludzki przeniesiono do etyki, nie utraciłby jeszcze wartości niedoścignionego wzoru. To też we wszystkich religjach, zbudowanych na gruncie wyższych poziomów kultury, bo nawet w tych, które odmawiają Chrystusowi boskości, ten wielki Mistrz i Męczennik otoczony jest czcią szczerą i głęboką. Jeżeli zaś uznamy, że widomy znak ideału najpowszechniej rozumianego i uwielbianego jest potrzebny dla wskazywania i przypominania ludziom z błotnej niziny ziemskiej najwyższego szczytu ich dążeń, to jaki symbol jest dla tego celu godniejszym od Krzyża? Cożinnego będzie lepiej i wymowniej uczyło ludzi: dbajcie o niepokalaną czystość dusz waszych, bądźcie sprawiedliwi i miłujcie się wzajemnie? Sprawcy usuwania Krzyża ze ścian instytucyj publicznych, to nie są mędrcy bezwyznaniowi, przeciwnicy religji chrześcijańskiej, rewolucjoniści filozoficzni i społeczni, to są radykałowie bezmyślności. Niema w obyczajach narodów kulturalnych nic rozumniejszego i szlachetniejszego od pozdrawiania się ludzi słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

Wogóle nasi radykaliści bardzo rzadko okazują dojrzałość umysłową i przeważnie znajdują się jeszcze albo w okresie żakowskiej łobuzerji, albo starczej przekory. Zdaje im się, że jeśli przeciwnicy używają tabliczki mnożenia, to oni powinni występować przeciwko tabliczkom mnożenia; jeśli jakiegoś łotra wiodą pod pręgierz, oni powinni umieścić go w ołtarzu. Okazało się to najjaskrawiej w procesie marjawickim. Obłuda religijna zbudowała już wiele rozmaitych kościołów na bagnach, ale chyba nigdy jeszcze nie zdobyła się na kult tak plugawy, tak zuchwale urągający najelementarniejszym zasadom moralnym i tak bezczelny w swej jawności. Niektóre jego „obrządki", przewyższające swoim bezwstydem domy nierządu, budzą nie tylko wstręt, ale zdumienie, jak tego rodzaju orgja samców w szatach kapłanów mogła trwać przez całe lata. Że się znaleźli zawodowi pracze najohydniejszych brudów adwokackiem mydłem, które wywabia wszelkie, nawet krwawe plamy przed sądem—do tego przywykliśmy jako do jednego z najdochodniejszych rzemiosł. To, może tylko wstydliwiej i oględniej, dzieje się wszędzie. Ale swoistym rysem naszego radykalizmu w organach opinji publicznej jest przemalowywanie i charakteryzowanie złoczyńców na dobroczyńców dlatego jedynie, że ich za przestępców ogłoszono po przeciwnej stronie. Zdawałoby się, że najbardziej odmienne i powaśnione żywioły mogą wspólnie uznawać pewne reguły życia, jak uznają reguły fizyki, że morderca lub rozpustnik będzie uważany za mordercę lub rozpustnika przez uczciwych ludzi wszelkiego gatunku. Otóż u nas oni zachowują się inaczej: jeżeli przeciwnik w swoim ogrodzie zasadził kartofle, to oni natychmiast zamieniają się na świnie, ażeby mu zryć zagony i wyrzucić z nich rzekome kule wybuchowe, a jeśli chce zabić wilka, krzyczą, że ściga niewinne jagnię. Na takiem przeczeniu — i tylko na niem — polega radykalizm wielu naszych łobuzów i opryszków dziennikarskich, którzy mniemają, że gdy do każdego wyrazu pacierza przeciwników dostawią z przodu „nie", to będą mieli własną, piękną modlitwę.

W rozmaitych formach powtarza się u nas przepyszna uwaga satyryka rosyjskiego o swoim narodzie: jeśli nie wynaleźliśmy prochu, to tylko dlatego, że rząd nie wydał odpowiedniego nakazu. Oddawna już wróble ćwierkały na dachu, że rujnujemy się na zbytkowne wyroby zagraniczne i że nasz bilans handlowy stracił równowagę. O tem wszyscy czytelnicy gazet, obywatele świadomi swych obowiązków wiedzą i codziennie w kilku miljonach gazet czytają. Ponieważ jednak nie było żadnego rozporządzenia, więc kupowali towary angielskie, francuskie, niemieckie, szwedzkie, duńskie, czeskie, bułgarskie, serbskie, greckie, wszelkie obce, a zwłaszcza drogie. Dopiero gdy jeden z ministrów wezwał społeczeństwo do pomocy w powstrzymaniu tego zalewu, rozpoczęły się obrady, powstały ligi, drużyny ochotnicze, plany i hasła walki. Jak dalece ten ruch jest sztuczny, powierzchowny i płytki, przekonała „akademja" (od kilku lat akademją nazywa się wszelkie wielogłowe gadanie publiczne), na którą przybyło 30 osób, a miały wtłoczyć się tysiące. Każdy fakt przykry uważany bywa zwykle za niespodziewany, więc i ten wywołał zdziwienie. A jednak jest on naturalny. Włosi mają czarne koszule, a my jedwabne pończochy. Nie tylko żony i córki pompierów majątku państwowego, lub urzędników jęczących o podwyżkę pensji, ale dziewki folwarczne lub damy na kilkomorgowych dobrach nie mogą się dziś obyć bez tkanin jedwabnych. Mężczyźni łatwo zgodziliby się na ubranie z fabryk białostockich i bieliznę z łódzkich, ale panie—nigdy, nigdy! Równałoby się to bowiem utracie cnoty niewieściej, która obecnie zmieniła miejsce i osiadła w zbytkownym stroju. Gdy nawet córka wyrobnika, dozorcy domu lub fornala, musi być ubrana modnie, a moda nigdy nie jest polska, czy można myśleć o zatamowaniu przywozu towarów zagranicznych? To zupełnie jak gdyby kto chciał przekonać, że polska dynia jest smaczniejsza od francuskiego ananasu. Wysokiemi cłami może się ich przypływ nieco zmniejszy, ale zachęcanie ogółu, a zwłaszcza kobiet do „samowystarczalności i patrjotyzmu gospodarczego" pozostanie głosem wołającego na puszczy. „Paw i papuga" Słowackiego nie zmienią swojej natury, chociażby bilans handlowy spadł w wywozie do zera, a w przywozie podniósł się do nieskończoności.

Z małej resztki wychowańców Szkoły Głównej i zapaśników „młodej prasy" ubył znowu jeden — Józef Kotarbiński. W legji pozytywistów odegrał on ważną rolę, należał do pierwszych i najczynniejszych. Zdolny estetycznie i literacko ukształcony nie wywarł szerszego wpływu dlatego, że zamknął swój bujny umysł w fanatycznem zamiłowaniu teatru. Wszyst-

ko, co w tej dziedzinie wyszło z pod polskiego pióra, przeczytał, wszystko, co przeszło przez polską scenę, widział, wszystko, co zagranicą wyrosło ponad średnią miarę, poznał. Bezwzględny wielbiciel Szekspira umiał jego dzieła na pamięć. Jako wieloletni towarzysz mieszkania, podziwiałem jego wytrwałą cierpliwość w studjowaniu ogromnej pracy słynnego analityka utworów dramaturga angielskiego, Gerwinusa, której języka jeszcze nie znał i musiał korzystać bądź z częściowych jej przekładów, bądź z pomocy przygodnej. Z „paradyzu", najtańszego miejsca w teatrze, był długo recenzentem „Przeglądu tygodniowego", płatnym za artykuły po groszu od wiersza. Wszyscy w gromadce skupionej około tego pisma byli pozytywistami z nazwy, a idealistami z dążeń i czynów; takim był również szlachetny, bezinteresowny entuzjasta Kotarbiński. Siła ciążenia, która nadawała kierunek wszystkim jego myślom i upodobaniom, wciągnęła go wreszcie tam, gdzie od początką i nieprzerwanie się skłaniał. Został aktorem, w rolach bohaterskich znakomitym. Był to kolega kochany, człowiek niezwykle dobry, łagodny, nazywany gołębiem bez żółci. Byliśmy serdecznymi przyjaciółmi, ale oddaliliśmy się od siebie skutkiem szczególnej właściwości Kotarbińskiego. Miał on nadzwyczajny przerost jednej wady—pobłażliwości. Nieraz, kiedy trzeba było się oburzać, przebaczał. Sam nie grzeszył, ale zbyt łatwo rozgrzeszał. Dziś w ostatniem pożegnaniu zacnego towarzysza młodości ta różnica charakterów znikła, pozostały tylko wspomnienia łącznej pracy i walki, szczerej sympatji i serdecznego żalu.

O zmarłym generala Rozwadowskim tyle tylko wiem, ile opowiedziały gazety. Ale kładę wieniec na jego mogile, bo na cześć pozgonną zasłużył męczeństwem.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

DZIESIĘCIOLECIE

Stronnictwo Narodowe wydało następującą odezwę:

POLSKA święci w bieżącym roku dziesiątą rocznicę swego państwowego odrodzenia. Na to święto wybrano 11-ty listopada, dzień podpisania rozejmu, który zakończył wojnę światową i stwierdził zwycięstwo wojsk sprzymierzonych nad Niemcami. Z tem wielkiem zdarzeniem, w którego chwili Polska, dzięki właściwemu stanowisku przeważnej części narodu i w okupowanym kraju i w krajach zachodnich i nawet w dalekiem wychodźtwie amerykańskiem, znalazła się po stronie Sprzymierzonych, wiążemy zdobycie Polski zjednoczonej i niepodległej. Winniśmy zatem ustalić to sobie w pamięci, że odrodzona Polska powstała z wojny, w której mocarstwa rozbiorcze walczyły przeciwko sobie i że pokonanie Niemiec przez wojska sprzymierzone pod wodzą Marszałka Foch'a, wśród których było także wojsko polskie z jen. Hallerem na czele, było koniecznym warunkiem odzyskania przez nas własnego, niezależnego państwa.

Jednak naród polski sam kuł swoją historję. Przetrwał on czasy niewoli, nie zatracił swego imienia i godności, walczył skutecznie z niszczycielską potęgą zaborców i przygotował swoje wyzwolenie. Jeśli prawdą jest, że w chwili światowej zawieruchy wojennej Polska nie miała mocy, aby na swoją rękę wywalczyć sobie wolność, to również jest prawdą niezbitą, iż bez ciągłego wytrwałego dążenia narodu do niepodległości odbudowanie Państwa byłoby niemożliwe. W chwili zaś przełomu dziejowego tylko świadoma celu polityka, która wypłynęła właśnie ze zrozumienia, że klęska Niemiec jest koniecznym warunkiem odzyskania istotnej niezależności Polski, która nie dopuściła do skorzystania przez państwa okupujące z rezerw ludzkich b. zaboru rosyjskiego, która przez związanie sprawy polskiej ze sprawą Sprzymierzonych postawiła naród polski w szeregu narodów zwycięskich — umożliwiła odbudowanie niepodległego Państwa Polskiego w dzisiejszych jego granicach.

Uczcić należy w dniu tego święta tysiącletnią budowę Państwa Polskiego, stuletnie zgórą, bezprzykładne w dziejach twarde zmagania się kilku pokoleń z zaborem i uciskiem, a w ostatnich lat dziesiątkach ten szeroki ruch narodowy we wszystkich zaborach, który doprowadził Dmowskiego i Paderewskiego, jako delegatów Polski, wchodzącej w krąg Państw Sprzymierzonych, do podpisania w Wersalu traktatu pokojowego z Niemcami.

Uczcić należy również w tym dniu te wszystkie wysiłki narodu polskiego i jego wojsk, które zdobycze z przed lat 10-ciu uzupełniały i utrwalały.

Dziesięć lat odzyskania niepodległości jest krótką chwilą w tysiącletniej naszej historji. Chwila ta jednak wielką ma wagę, albowiem, budując na nowo, wiele może przyszłych przesądzić rzeczy. Kiedy świętujemy rocznicą odrodzenia Polski, spójrzmy bacznem okiem, cośmy przez tych dziesięć lat z Polską uczynili. Rozważmy, czyśmy ją dostatecznie umocnili, czy zapewniliśmy jej warunki rozwoju. Porównajmy stan naszego państwa ze stanem sąsiadów, głównie zaś tych, od których przywykliśmy spodziewać się wszelkiego zła. Popatrzmy w najbliższą przyszłość, rozluźniające się gwarancje pokoju, w przejście powrotne Niemców przez Ren, w możliwość zdania wschodu Europy na los szczęścia lub nieszczęścia. A wówczas radość na obchodach rocznic historycznych nie będzie bez troski. Nie wolno jednak narodowi, świadomemu swej odpowiedzialności, cieszyć się jak dziecko, które nie rozumie przyszłości i nie zna niebezpieczeństwa. Wielką jest radością odzyskać utracone najwyższe dobro, ale kto je ceni, musi ciągłe i mądre robić wysiłki, aby je utrzymać i pomnożyć. Tej troski nie wolno nam się wyzbywać w radosnem upojeniu uroczystych obchodów. Raczej winny być te obchody bodźcem do nowych, do lepszych wysiłków nad umocnieniem i utrwaleniem ciężko i krwawo zdobytej Polski. Do takiej twórczej troski, do wytrwałej pracy i do celowych wysiłków ku uzyskaniu własnych, od naszej siły zależnych rękojmi bezpieczeństwa i pokoju wzywamy świadomy swych obowiązków ogół narodowy.

Odezwę podpisali: — Joachim Bartoszewicz, jako prezes, oraz członkowie prezydjum i Komitetu politycznego:

Bielawski Bolesław, Czartoryski Witold, Czetwertyński Seweryn, Dąbrowski Stefan, Dubanowicz Edward, Głąbiński Stanisław, Jasiukowicz Stanisław, Kiniorski Marjan, Kozicki Stanisław, Kozłowski Medard, Rembieliński Jan, Rybarski Roman, Seyda Marjan, Stroński Stanisław, Szebekówna Józefa, Szturmowski Piotr, Trąmpczyński Wojciech, Wasiutyński Bohdan, Wiercza[illegible] Karol, Winiarski Bohdan, Zalewski Stanisław, Zwierzyński Aleksander, Żółtowski Adam.

Z ŻYCIA MASONERJI

POLSKIE ministerjum oświecenia znalazło sposobność wystąpienia międzynarodowego. Stało się to z powodu śmierci prof. Alfonsa Aularda, wiceprezesa Ligi obrony praw człowieka i obywatela. Minister oświecenia Świtalski wysłał depeszę kondolencyjną do francuskiego ministra oświaty p. Herriota. Na co ten odpowiedział: „Szczerze wzruszony dowodem Pańskiego współczucia przesyłam wraz z podziękowaniem zapewnienia mojej trwałej pamięci dla wielkich wspomnień, które nas łączą".

Niejakie wyjaśnienie tego stosunku znaleźć można w artykule senatora St. Posnera w „Świecie", który z rozrzewnieniem wspomina usługi oddane przez Aularda polskiej Lidze obrony praw człowieka. Sen. Posner identyfikuje tę Ligę i sprawy mniejszości narodowych z Polską i sprawę tak przedstawia, jakby Aulard robił to wszystko dla Polski. Tymczasem łączyła ich sprawa żydowska. Wiadomo, że na żądanie Ligi polskiej p. Posnera, Liga francuska ogłosiła przed kilku laty z podpisem Aularda protest przeciwko „białemu terrorowi", stosowanemu jakoby wobec żydów przez Polskę.

Żydzi intrygowali wtedy przeciwko Polsce, a zawładnąwszy przy pomocy kartelu lewicowego rządy we Francji i giełdę, utrwalili wpływy w Lidze Narodów i, jak im się zdawało, niepodzielnie z masonerją zapanowali nad sprawami Europy. Wiązały się z tem zmiany na stanowiskach prezydenta (Gaston Doumergue) i kierownika rządu. Do potęgi doszła masonerja za gabinetu Herriota, ostatnio ministra oświaty. W gabinecie jego zasiadał żyd Leon Meyer, sekretarzem rady ministrów był A. M. Israel. Prezesem parlamentu był towarzysz Herriota z tejże masońskiej Ligi obrony praw człowieka, Painlevé, któremu dodany był na sekretarza żyd Heilbronner. W parlamencie główną figurą stał się bliski tamtym dygnitarzom żyd, Leon Blum.

W r. 1924 pisał publicysta francuski S. Calm (ob. „Myśl Narodowa" z r. 1924, nr. 52):

> „Blok lewicowy, który panuje obecnie, delegował, począwszy od końca wojny, swych przywódców na zebrania sjonistyczne i postarał się o praktyczne zrozumienie problemu sjonistycznego. Obecnie ci sjonofile zajmują najprzedniejsze stanowiska w państwie: Paweł Painlevé, prezydent Izby deputowanych, żyd Leon Blum, przywódca frakcji socjalistycznej, a zatem jedna z najważniejszych osobistości, Justyn Godard minister pracy, de Monzie sławny adwokat. Liga praw człowieka popiera sjonizm wszelkiemi środkami. Z pośród profesorów wszechnicy paryskiej trzej najbardziej sławni proklamują swoje sympatje sjonistyczne z agitacyjną gorliwością: historyk Aulard, estetyk Basch i ekonomista Karol Gide".

Tem się tłumaczą polskie kondolencje i nekrologi mistyfikacyjne sen. Posnera, który w polskiej masonerji odgrywa wybitną rolę ogniwa międzynarodowego.

Co się tyczy Aularda, poświęcał on życie wielkiej idei masońskiej gruntowania zdobyczy, osiągniętych przez wielką rewolucję francuską. Przewrót ten, tak samo jak bolszewicki w naszych czasach, ułożony był i przeprowadzony przez masonerję. Idea zrównania i obrony praw człowieka miała w motywie wewnętrznym żydów na widoku. Teraz, gdy żydzi osiągnęli to zrównanie, idą o szczebel wyżej, aby wyzyskać prawa obywatela na rzecz rządów żydowskich w Europie. Aulard miał (od r. 1889) katedrę specjalną historji rewolucji francuskiej i tu stał na straży, aby historycy nie wydobyli prawdy. Walczył jak lew z H. Taine'em, myląc tropy jego krytycyzmu, a w krytycznym dla żydów momencie stanął przy boku Dreyfussa. Był to, jak świadczy sen. Posner, „wielki przewrót polityczny". Wtedy powstała przy współdziałaniu Aularda owa organizacja masońsko-żydowska: „Liga obrony praw człowieka i obywatela".

Do jakiej daty odnieść należy owe „wielkie wspomnienia", które łączą p. Herriota z p. Świtalskim, nie umiemy powiedzieć. Wiemy tylko, że zacząwszy od „wielkiej" rewolucji wszystko w tej dziedzinie wmawiane jest ludziom jako wielkie: więc i sprawa Dreyfussa była wielkim przewrotem i Aulard był wielkim uczonym i wielkim działaczem (u Posnera), więc oczywiście i owe wspomnienia są wielkie.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Bilans: -- Polityka gospodarcza, — Naprawa ustroju, — Uspokojenie na kresach, — Stosunki polsko-litewskie. — Przesilenie we Francji.

TAK się złożyło, że właśnie w dziesięciolecie odzyskania niepodległości, w kilku dziedzinach ujawniły się bardzo pouczające wyniki systemu politycznego, jaki zapanował w Polsce od maja 1926 roku. Przedewszystkiem wymienić tutaj należy politykę gospodarczą, przez rząd obecny uznawaną za główne pole popisu. Snop światła na rezultaty, jakie zostały osiągnięte w tej dziedzinie, rzuciła mowa pos. prof. Rybarskiego, wygłoszona w Sejmie podczas dyskusji nad projektem budżetu na rok 1929/30, wniesionym przez ministra skarbu Czechowicza.

> „Gdy przed kilku miesiącami... — mówił prof. Rybarski — przewidywałem, że deficyt bilansu handlowego dojdzie do 600 miljonów, wtedy usłyszałem zarzut pesymizmu, pesymizmu szkodliwego dla Państwa. I cóż się okazało? Że za 9 miesięcy deficyt bilansu handlowego wynosi 780 miljonów".

Z biernością bilansu handlowego ściśle łączy się, jak stwierdził prof. Rybarski, sprawa braku kapitału obrotowego w naszej wytwórczości:

> „Jesteśmy świadkami... że w ostatnich czasach powiększyły się ogromnie trudności płatnicze".

Doszło do tego, że w ostatnich tygodniach

> „...musiało się przestać realizować promesy Banku Państwowego, że nie dotrzymuje się zobowiązań, że się cofa kredyty, choć się obiecywało przyjmować do prolongaty weksle instytucyj bardzo poważnych..."
>
> „...Niewątpliwie brak płynności pieniądza powiększa niebezpieczeństwo naszego bilansu handlowego. Dzisiaj deficyt pokrywamy pożyczkami... Ale jeżeli kurs przeciętny pożyczek państwowych: belgijskiej, czeskosłowackiej, finlandzkiej, francuskiej, jugosłowiańskiej, węgierskiej, niemieckiej i włoskiej na giełdzie w New-Yorku w grudniu 1927 r. wynosił 101,16, to w trzecim tygodniu września — ostatnie dane u nas opublikowane — ten kurs wynosi 102,08. Tymczasem pożyczka stabilizacyjna rozpoczęła od kursu 92,05 przeciętnie w listopadzie 1927, w grudniu kurs wynosił 89,67, w marcu więcej 91,09, w lipcu 89,25, w trzecim tygodniu września... 88,88, w drugim tygodniu października 88,69".

Drugim terenem, na którym „obóz pomajowy" miał wykazać najbujniejszą twórczość i położyć najtrwalsze zasługi, było zagadnienie naprawy ustroju. „Tylko obóz przewrotu majowego przeprowadzi zmianę ustroju" — tą formułą usprawiedliwiali zaciągnięcie się pod sztandary „sanacji" ci wszyscy, co często bardzo w rzeczywistości rachowali na korzyści o wiele bliższe i uchwytniejsze. Przez dwa lata zgórą cierpliwość społeczeństwa polskiego wystawiona była na próbę nieustannego oczekiwania.

Wreszcie na posiedzeniu Sejmu dn. 31 zm. prezes klubu Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, pos. pułk. Sławek zgłosił... wniosek, iż:

„Sejm... przystępuje do rewizji Konstytucji i poleca Komisji konstytucyjnej, by przed upływem trzech miesięcy złożyła sprawozdanie co do mających się zaproponować zmian ustawy konstytucyjnej".

Dnia 8 b. m. rozpoczęły się nad powyższym wnioskiem narady Komisji konstytucyjnej Sejmu, ale... jak łatwo można było przewidzieć, żadne zmiany ustawy konstytucyjnej same „się nie zaproponowały". Nie zaproponował ich także Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, zgodny jedynie co do kwestji zasadniczej, że zmiany muszą być przeprowadzone „przed upływem trzech miesięcy", ale na to, jakie zmiany są właściwie potrzebne, nie posiadający żadnego wspólnego poglądu...

Trzecim terenem, na którym rząd obecny zaznaczył przedewszystkiem odrębność swej polityki, był „nowy kurs" tolerancji i popierania „mniejszości narodowych" na kresach, w szczególności ukraińców w b. Galicji Wschodniej. Odpowiedzią na to okazało się zbojkotowanie uroczystości Dziesięciolecia przez ruskich i białoruskich posłów oraz senatorów, a dn. 1 b.m. ohydne prowokacje bojówek ukraińskich we Lwowie, strzelanie do policjantów i znieważanie grobów polskich bohaterów narodowych. Jakie jest obecnie położenie, o tem świadczy cytat z krakowskiego „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", pisma „sanacyjnego", którego właścicielem jest poseł z Bezp. Bloku p. Marjan Dąbrowski:

„Dziś jest gorzej, jak było w latach 1919-20, bo dziś ukrainizm idzie niepohamowanym pochodem i to nie rewolucyjnym, lecz koncesjonowanym przez państwo!.. Lwów umiał walczyć z krwawemi hordami Konowalców czy Melnyków, ale nie umie walczyć z ruchem ukraińskim, który wyraźnie jest faworyzowany: i dlatego dzisiaj z listów, jakie otrzymujemy, bije gorycz i zwątpienie".

Czwartym terenem, na którym „obóz pomajowy" postanowił pokazać, co potrafi, był teren polityki zagranicznej, przedewszystkiem sprawa nawiązania normalnych stosunków pomiędzy Polską a Litwą. Sprawę tę od początku ujął całkowicie w swe ręce marsz. Piłsudski, który, nie będąc ministrem spraw zagranicznych, osobiście udał się na Radę Ligi Narodów do Genewy, ażeby przy pomocy autorytetu Ligi przymusić p. Woldemarasa do wyrzeczenia się dotychczasowego, wrogiego stanowiska wobec Polski. Rok już mija, a podjęta akcja dyplomatyczna nie wydała żadnych absolutnie wyników. Ostatnia konferencja polsko-litewska w Królewcu zakończyła się, jak stwierdził minister spraw zagr. Zaleski, zupełnem niepowodzeniem: jedyna podpisana umowa o t. zw. „małym ruchu granicznym" uprawnia tylko stan rzeczy istniejący od lat i nic właściwie nowego do stosunków polsko-litewskich nie wnosi... Zdaje się też, iż słuszne są pesymistyczne konkluzje, do jakich dochodzi naczelny publicysta „Kurjera Warszawskiego", p. Bolesław Koskowski pisząc:

„Naturalnie, że proces raz rozpoczęty w Genewie trzeba jakoś zlikwidować formalnie, ale byłoby błędem, gdyby dyplomacja polska oczekiwała teraz zarządzeń naprawdę praktycznych. Uprawiając pieniactwo międzynarodowe oddajemy tylko usługę Woldemarasowi, megalomanji litewskiej i zewnętrznym reżyserom komedji kowieńskiej".

A tymczasem we Francji czynniki, które w czasie wojny prowadziły politykę germanofilską, mając na czele pp. Caillaux i Malvy, obaliły rząd Jedności Narodowej, kierowany przez Poincaré'go. Jakikolwiek będzie koniec tego przesilenia, jest ono — poważnem ostrzeżeniem.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

PAMIĘTNIKI LUDWIKA JABŁONOWSKIEGO

Nakładem „Wydawnictwa Polskiego" w Poznaniu ukazały się niedawno już po raz drugi „Złote czasy i wywczasy, pamiętnik szlachcica z pierwszej połowy XIX stulecia". Szlachcicem tym jest Ludwik Grzymała Jabłonowski (którego siostra, rozwiódłszy się ze Stanisławem Skarbkiem, wyszła za Aleksandra Fredrę). Wydanie pamiętników jest zasługą Stanisława Wasylewskiego.

Z przedmowy dowiadujemy się, że ich autor, urodzony w roku 1810 w Warszawie, zmarły w roku 1887 we Lwowie, był człowiekiem nieprzeciętnym: jeden to z „czerwonych hrabiów" (powiada Wasylewski), „karmazyn—spiskowiec i karbonarjusz", ułan z pod Grochowa, a w roku 1848 oficer lwowskiej gwardji narodowej w szwadronie jazdy; z czasem zgorzkniały i rozczarowany do świata i ludzi, a i do samego siebie także, zamknął się na cztery spusty na wsi i zabrał się do pisania pamiętników. Długo, bo aż do roku 1920, zalegały one w rękopisie (w Ossolineum). Chodziły wieści, że „wspomnienia tego zrażonego do ludzi samotnika będą druzgocącą kroniką skandaliczną z życia szlachty galicyjskiej", że „pod pieczęciami ukrywa się lwowski Casanova, czy też galicyjski T. Bobrowski". Tym, którzy tak myśleli, sprawiło wydanie Wasylewskiego gorzki zawód, albowiem — bardzo słusznie — pominął on wszystkie „zapachy skandalików", opuścił także różne „zgryźliwe zapatrywania i osądy starego człowieka, załatwiającego w pamiętnikach osobiste i rodzinne porachunki". Lecz nie tylko przetrzebił wydawca treść pamiętników, ale także poprawił ich formę, „odgrzebując plastykę słowa" „pod nalotem... zawiłego często szyku zdań i nadmiernej ilości wtrąconych określeń". Nie jest to więc wydanie krytyczne.

Ale też nie o to Wasylewskiemu chodziło: jego zamiarem było dać czytelnikom w ręce „gawędy o starym obyczaju", „pamiętnik żołnierza i obywatela", „wspomnienia ziemianina, który był świadkiem i uczestnikiem ogromnego przełomu w życiu swego społeczeństwa". I za to wszyscy czytelnicy będą Wasylewskiemu szczerze wdzięczni.

Nie są, rozumie się, pamiętniki Jabłonowskiego dokładną historją współczesną, ale są zbiorem barwnych obrazów i ciekawych szczegółów z życia społeczeństwa polskiego w Galicji wschodniej w pierwszej połowie XIX wieku. Dwory i dworki szlacheckie, życie we Lwowie, gospodarstwo wiejskie, zabijaki i dziwacy, nikczemna polityka austrjacka wobec Polski, szczegóły z powstania roku 1831, 1846 i 1848 — oto co stanowi główną treść pamiętników Jabłonowskiego, a tym dodatkiem, że mają one przeważnie charakter obyczajowy i anegdotyczny.

Nie brak też wiadomości, które żywo zainteresują historyka literatury: są wzmianki o Kamińskim, o Fredrze, o Goszczyńskim, o Polu, o Bielowskim, o Józefie Dzierzkowskim. Ciekawy np. jest szczegół, że bohatera „Króla Zamczyska" poznał Goszczyński dzięki Jabłonowskiemu, który zawiózł kiedyś poetę do zamku odrzykońskiego, gdzie przebywał zwykle obłąkany Machnicki. „Był to niski urzędniczek królewskiego miasta Krosna, mały, chudy, łysy, w siwej kapocie, całkiem nieszkodliwy, chodził w odwiedziny po dworach i nawet wiersze składał".

Nierównie jednak ciekawsze jest świadectwo, jakie Jabłonowski wystawił samemu Goszczyńskiemu: „obyczajów ostrych,... wolny od wszelkiej zarozumiałości...

polityczna frazeologja była mu wstrętną;... wielka sprężystość ducha i siła woli, połączone ze spartańskiem zaparciem się samego siebie, były głównemi rysami jego charakteru". Ten sąd o Goszczyńskim, zaciętym demokracie i rewolucjoniście nienawidzącym arystokracji, jest tem godniejszy uwagi, że wyszedł z pod pióra arystokraty.

Jest za to w „Złotych czasach i wywczasach" pewien arystokrata, którego Jabłonowski „opisał" niezbyt pochlebnie. Jest nim nikt inny, tylko szwagier autora, Aleksander Fredro. „W domowem życiu skryty, jak wszyscy Fredrowie, prawie zawsze kwaśny, dla sług mroźny, dla podręcznych nadmiernie pyszny, obojętny na wszystko, co go bezpośrednio nie obchodziło;... nadzwykłego sprytu w prowadzeniu zarządu gospodarczego i spraw pieniężnych, nawet giełdowych,... ulegał... dziwnej słabostce: miał przekonanie, że szanse *rouge et noir* i loterji dadzą się obliczyć, i bardzo często przemyśliwał nad tem;... jego poglądu na świat określić nie potrafię;... po za polskością stałego oparcia nie miał, bezwiednie chylił się ku kosmopolityzmowi, w każdem zdarzeniu oglądał się na hotel Lambert i stamtąd bezwarunkowo przyjmował hasło; ani dla Napoleona, ani dla księcia Józefa, choć służył pod nimi, religji nie miał, a czasem zadziwiające trapiły go pomysły; pomnę, raz mówi mi: „kochaliśmy wszystkich, i nic dla nas nie zrobili, — żebyśmy też spróbowali kochać Niemców",

Czy to wszystko prawda? Jeżeli taka sama prawda, jak to, że Fredro był „obojętny na wszystko, co go bezpośrednio nie obchodziło," i że „bezwiednie chylił się ku kosmopolityzmowi", to... to przypomina się aforyzm Fredry: „Dajesz słowo honoru, więc ci wierzę, ale to nie prawda!" Nie dziw, że wnuczka Fredry, pani Marja Szeptycka, w wydanych przeszłego roku wspomnieniach (p, t. „Niegdyś") nazwała tę charakterystykę Fredry „jadem zaprawną, oszczerczą krytyką szwagra".

Musiał Jabłonowski nie lubić Fredry; nie poznał się też na jego komedjach, skoro pisze, że „właściwem jego polem" była „ulotna humorystyka", to jest owe wiersze pornograficzne, które zresztą istotnie znamionują nie byle jaki talent.

Wspomina Jabłonowski i o Mickiewiczu, którego poznał w Dreźnie. „W domu Orłowskich ujrzałem po raz pierwszy Mickiewicza. „Sonety" i „Wallenrod" były już rozgłośny jego imię. Szczerze wyznać muszę: jeżeli z gorączkową niecierpliwością zbliżyłem się do tej osobistości, to znalazłem ją mało sympatyczną... Zimny, zepsuty hołdami, pozował ciągle... Rozmawiając ze mną, siedział trochę za poufale w poręczowem krześle, wobec towarzystwa, w którem się znajdował. Córka domu, ujmująca panna, podała Mickiewiczowi filiżankę herbaty. Przyjął całkiem obojętnie i, skosztowawszy, oddał spokojnie stojącej, mówiąc: „Za mocna". Jak zbliżenie, tak i poznanie nasze było lodowate. Mistrz słusznie lekceważył wyrostka, a po przedstawieniu zapytał: „No, cóż tam słychać w Galilei?" Niechętnie dawałem sobą, tem mniej Galicją pomiatać... Draśnięty przyjęciem, w dość długiej pogadance pomściłem się po studencku: umiejąc mego Byrona i Goethego na pamięć,... skierowałem mowę na nich i, jak od niechcenia, recytowałem całe ustępy, które on, licząc na małą znajomość litewskiej publiczności, w balladach zużytkował". Czy Mickiewicz wziął tę zemstę studencką do serca, czy ją nawet zrozumiał, a jeśli zrozumiał, to czy nie mruknął: „Za głupi", — o tem Jabłonowski dyskretnie milczy. Świadczy sobie zato, że z wiekiem zmądrzał: „Gdym później czytał „Pana Tadeusza", gorzko drwiłem sam z siebie i z tej paniczowskiej buty".

Narratorem jest Jabłonowski dobrym, czasem nawet bardzo dobrym; to też czyta się jego pamiętniki gładko i miło. Ile w tem zasługi samego autora, a ile utalentowanego wydawcy, to już czytelnikowi wszystko jedno.

Piękne wydanie, przyozdobione ilustracjami, podwyższa jeszcze wartość „Złotych czasów i wywczasów".

IGNACY CHRZANOWSKI

„TĘCZA"

Po zeszycie zaduszkowym ukazał się 45-ty numer „Tęczy", poświęcony Dziesięcioleciu Niepodległości Polski. Warto tym interesującym zeszytem zająć się bliżej. Bogactwo treści walczy w nim o lepsze z zasobnością ilustracyjną. Dobór artykułów i piór jest pierwszorzędny. Poszczególne utwory składają się na syntetyczną całość i dają niejako przekrój tego, co w różnych dziedzinach życia narodowego stało się i rozwinęło w pierwszem Dziesięcioleciu Niepodległości.

Lecz przyjrzyjmy się bliżej samym artykułom. Nie sposób streszczać je i omawiać. Zajęłoby to zbyt dużo miejsca. Musimy ograniczyć się do suchego przytoczenia nagłówków—lecz już z tego czytelnik zorjentuje się, z jakim dorobkiem wystąpiła redakcja w tym jubileuszowym zeszycie. „Rzut oka wstecz i naprzód" — oto tytuł artykułu prof. Wł. L. Jaworskiego. Rozwój gospodarczy Polski w latach 1918 — 28 rozpatruje znakomity uczony i polityk, prof. dr. R. Rybarski. Społecznemi ustosunkowaniami tego okresu zajmuje się Zygmunt Wasilewski. O ideologji Polski w wiekach dawnych w porównaniu z chwilą obecną pisze prof. dr. T. Grabowski. Żywotną kwestję bandery polskiej porusza St. Punicki. Pułk. T. Różycki omawia Dziesięciolecie wojska polskiego. Przekrój literatury polskiej daje nam dr. St. Kolbuszewski, a dr. St. Papée streszcza zagadnienie teatrów dramatycznych w ostatniem dziesięcioleciu. W formie napoły nowelistycznej, napoły sprawozdawczej opowiada G. Morcinek o nocy listopadowej w Cieszynie. Następują artykuły bogato ilustrowane: Pamiątki Kościuszkowskie w Kórniku prof. dr. M. Skałkowskiego, studjum o twórczości nestora rzeźbiarzy polskich, Władysława Marcinkowskiego, pióra Jana Mrozińskiego, przegląd godeł państwowych od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy J. Maleszewskiego, niezwykle interesujący artykuł St. Wasylewskiego o pieśniach polskich p. t. „Tam na błoniu błyszczy kwiecie". W dziale ilustracyjnym znajdujemy całostronicowe plansze p. t. Straż na granicy, świetne portrety sterników nawy państwowej od r. 1918-28 (Piłsudski, Narutowicz, Wojciechowski, Mościcki), również całostronicową planszę przedstawiającą Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie, ciekawe ilustracje kronikarskie z teatrów poznańskich, z realizującego się właśnie nowego filmu polskiego „Ponad śnieg" St. Żeromskiego. Osobną stronicę poświęciła redakcja pięknej reprodukcji jednej z wizyj architektonicznych St. Noakowskiego. Obok artykułu o Władysławie Marcinkowskim znajdujemy 3-barwną reprodukcję portretu Marcinkowskiego z lat młodzieńczych. Niezawodnie zainteresuje plansza ta historyków sztuki. Cały szereg rozsianych na stronach zeszytu ilustracyj wypełnia numer po brzegi. Redakcja nie zapomniała również o jubileuszu niepodległości bratniego narodu, mówi nam o tem piękny portret prezydenta republiki czechosłowackiej Masaryka oraz poezje E. Zegadłowicza, poświęcone największemu współczesnemu poecie czeskiemu, Ottokarowi Brzezinie. Dział poetycki dopełniają poezje K. Iłłakowiczówny z nowego i nieznanego dotychczas cyklu p.t. „Wiersze chropowate". Numer zamykają dwie nowele: jedna p.t. „Przed świtem" p. Zofji Kossak-Szczuckiej, druga „Kwatera" Marvli Wolskiej. I w dziale Rozrywek umysłowych napotykamy na aktualne, z dziesięcioleciem związane tematy. Okładkę do numeru, który tak pod względem doboru treści jak i formy graficznej jest bez zarzutu, zaprojektował prof. Ludwik Misky.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wyjątkowo zasłużony dla kultury polskiej w Wilnie, acz zbyt mało znany w pozostałej Polsce, prof. U.S.B., S t a n i s ł a w K o ś c i a ł k o w s k i, wydał obecnie drobną próbę swej pracy historycznej, jak gdyby wyjątek z zakrojonej na szeroką skalę monografji o Tyzenhauzie, podskarbim Stanisława Augusta. Jest to książka, omawiająca olbrzymią literaturę polemiczno-sądową, związaną z procesem Tyzenhauza, a obejmującą 76 druków o 689 stronach druku *in folio*. Połowę tych druków prof. K. odnalazł sam w archiwach Wilna, Puław, Warszawy, Poznania, Krakowa i Lwowa; bibljografie (Estreichera, Finkla i Suligowskiego) nawet część pozostałą omówionych druków podawały nieściśle. Książkę prof. Kościałkowskiego, będącą wzorem dokładnej i sumiennej pracy naukowej, zamyka ciekawy rozdział o literaturze satyryczno-pamfletowej, wywołanej procesem Tyzenhauza.

*

Uczony teolog, docent uniwersytetu warszawskiego ks. dr. Andrzej Krzesiński ogłosił interesującą rozprawę pt. „Pozytywizm i modernizm a polskie duchowieństwo“ (Warszawa 1928, księgarnia Gebethnera i Wolffa). Autor przedstawia pokrótce ogólne zasady pozytywizmu i modernizmu, następnie zaś poddaje obszernej krytyce poglądy filozoficzne ks. Stanisława Kobyłeckiego, byłego jezuity, i na podstawie długiego szeregu cytat wypowiada opinję, iż w ostatecznej konsekwencji w skrajnie empirycznym „poglądzie ks. Kobyłeckiego niema miejsca dla Boga i dlatego określamy go nazwą naukowego ateizmu“. W poglądach ks. Kobyłeckiego dopatruje się ks. dr. Krzesiński wpływu materjalistycznej filozofji Ernesta Macha, wskazując przytem na ich ciasnotę i przestarzałość, zwłaszcza obecnie, gdy „najtęższe umysły... szukają poza zjawiskami rozwiązania najważniejszych zagadnień, niepokojących ludzkość“.

Książka ks. Krzesińskiego wywołała ożywioną dyskusję w prasie, między innemi spotkała się z przychylną oceną na łamach „Gazety Kościelnej“ (nr. 33). Natomiast „Przegląd Katolicki“ (nr. 36) zamieścił w niezwykle ostrym tonie utrzymaną replikę ks. Kobyłeckiego. Żywa, nawet namiętna dyskusja na tematy filozoficzno-teologiczne jest w zasadzie zjawiskiem pomyślnem, wskazuje na wzrost zainteresowania się szerszych kół społeczeństwa zagadnieniami wiecznemi, pod warunkiem jednakże, ażeby wystrzegano się jaknajstaranniej sprowadzania polemiki naukowej na poziom sporów o charakterze osobistym.

*

Edward Ligocki, niedawno jeszcze tak płodny, odpewnego czasu rzadziej się odzywa. Ostatnim jego tomem, ogłoszonym po dwuletniej niemal przerwie, jest „Prawo szpady i krwi“ (księg. św. Wojciecha). Rzecz ta w pewnej mierze jest ciągiem dalszym czy paralelą wspaniałej powieści tegoż autora (jednej z najlepszych w jego dorobku) noszącej tytuł „Noc na Palatynie“. I tu bowiem główną nicią intrygi jest międzynarodowa agitacja bolszewicka, prowadzona zagranicą. Charakterystyczne są nazwiska głównych macherów agitacji: Marja-Jehanne de Mouton-Gissors tudzież Izydor (recte Icek) Koller... *sapenti sat!*... Ten ostatni jest postacią komiczną, zwłaszcza gdy przebranego w szaty duchowne demaskują Korsykanie. Akcja bowiem powieści rozgrywa się na rodzinnej wyspie Napoleona, wśród ludności przywiązanej do tradycyj rycerskich nawet wtedy, gdy ucieka się do słynnego prawa *vendetty*; romantycznym nastrojem tchną zwłaszcza sceny mówiące o zbójnikach tamtejszych, kryjących się w gąszczach *maquis*. Na tem tle rzucone są postaci dwóch Polaków, z których jeden jest uczniem podchorążówki z okresu przewrotu majowego.

*

Michał Janik wydał w serji „Z historji i literatury“ (nakł. Krak. Spółki wydawniczej) grubą książkę p.t. „Dzieje Polaków na Syberji“. W pewnej mierze jest to rozszerzenie broszurki p.t. „Polska literatura syberyjska“, wydanej przed laty w złoczowskich „Charakterystykach literackich“. Autor z wielką sumiennością przebrnął przez gąszcz pamiętników zesłańczych, wśród których, obok powszechnie znanych (jak Beniowskiego, Kopcia, Felińskiej, Rufina Piotrowskiego, Tokarzewskiego) znajduje się szereg mniej głośnych, niemniej jednak niepozbawionych szczegółów ciekawych. Szerszemu ogółowi czytelników przydadzą się wiadomości o ruchach zbrojnych i powstaniach, wzniecanych przez zesłańców; jedno z nich, z 1866, wzniecone za Bajkałem, miało nawet większe rozmiary i pewne widoki powodzenia. Rzecz swoją doprowadził autor do wybuchu wojny światowej, poczem poprzestał na ogólnikowych wzmiankach, wśród których niestety znalazł się poważny błąd historyczny: oto polską dywizję syberyjską, wchodzącą jak V dywizja, w skład armji jen. Hallera, nazwano „formacją Kołczakowską“(!!); dla informacji podać należy, że dywizja polska tworzyć się poczęła w czerwcu 1918 r., a w początkach listopada miała już 3 pułki piechoty, gdy natomiast admirał Kołczak objął władzę dopiero z końcem listopada, a stosunek jego do formacyj polskich był niemal wrogi. Pod względem taktycznym dywizja polska podlegała rozkazom francuskiego jenerała Janin'a.

*

Nakładem firmy F. Hoesicka ukazał się w pięknej szacie ilustracyjnej polski przekład słynnego dzieła J. Jörgensena „Pielgrzymki franciszkańskie“. Autor, Duńczyk i protestant, wiedziony kultem piękna przybył do słonecznej Italji, gdzie zetknął się z braćmi zakonu św. Franciszka. Było to w czasie, gdy w świecie wielkim rozgłosem cieszyła się książka Sabatiera o św. Franciszku, traktująca osobę i działalność Biedaczyny umbryjskiego pod kątem widzenia protestanckiego racjonalizmu. Jörgensen, miłośnik sztuki i hołdownik modnych podówczas prądów estetyczno-filozoficznych, zainteresował się św. Franciszkiem i franciszkanami zrazu tylko ze względów artystyczno-literackich, opierając się natomiast wpływowi arcykatolickiej idei, kryjącej się zarówno w życiu prostaczka z Assyżu, jak i w regule i pismach jego braci. Z czasem jednak duchowa strona franciszkanizmu zaczyna stawać się udziałem niedawnego sceptyka i estety, który w katolicyzmie znajduje najwyższą radość życia i najgłębszą jego prawdę. Uzupełnienie tej „księgi nawrócenia“, jaką są „Pielgrzymki“, a raczej prolog do niej—znaleźć można w innych dziełach Jörgensena, malujących przełom duchowy autora („Obrazki z drogi“ etc.), a koroną tego cyklu jest nacechowana ekstazą i pogodną radością monografja poetycka „Św. Franciszek z Assyżu“.

*

Jako pośmiertny wybór poezji Marji Grossek-Koryckiej ukazał się „Pamiętnik liryczny“ w nakładzie księgarni F. Hoesika. Poezje poprzedza wstęp pióra Art. Górskiego, dającego krótką a głęboką syntezę tej oryginalnej indywidualności poetycko-filozoficzno-publicystycznej. Jako poetka bowiem posiada Marja Korycka swoje zupełnie własne nastawienie uczuciowe, potrzebujące przepychu ornamentyki, symbolów, synkop... Wybuchowa moc pióra nie pozwalała na zimną cyzelację formy: tok liryczny rwał się i tryskał snopami stylistycznych efektów, a nawet gwałtów. W treści swej poezja ta jest tragicznie wpatrzona w grę ułud na powierzchni głębin i misterja zaświatowe, rozjaśniające się zrzadka melodją ciszy, lub gorejące płomieniem uczuć patrjotycznych. Twórczość ta — to zjawisko zupełnie wyjątkowe dziś, w dobie snobizmu dancingowo-technicznego, niewiadomo poco symulującego poezję. Tem cenniejsza. Na czoło wysuwa się cykl sonetów, istnych pereł liryki spółczesnej (niektóre z nich drukowała „Myśl Narodowa“) i Hymny, zwłaszcza przepiękny „Hymn Zmartwychwstania“. Poezje te winny coprędzej wejść do antologij poetyckich, tak często zapychanych dziś tandetą. Nie można nie wyrazić żalu, iż tak późno ogół polski zapoznaje się z tak niezwykłą twórczością.

*

Niedawno ukazał się trzeci zeszyt „*Pro fide, rege et lege*“, wydawnictwa z zakresu ideologji konserwatywnej i monarchicznej. Znaczna część zeszytu poświęcona jest uczczeniu pamięci ś. p. Konstantego hr. Broel Platera, założyciela „Stronnictwa Zachowawczego“, bliskiego współpracownika politycznego Romana Dmowskiego w czasie wojny światowej. Dłuższą biografję, opartą, między innemi na podstawie znanego dotąd tylko z fragmentów, a bardzo interesującego pamiętnika Zmarłego, opracował wybitny historyk, Kazimierz Marjan Morawski, doprowadzając ją narazie do r. 1916. Nadzwyczaj cenny, głęboko ujęty jest artykuł Hieronima hr. Tarnowskiego p. t. „Małżeństwo wobec społeczeństwa i państwa“; prawdziwą zasługą autora jest, między innemi, zapoznawanie społeczeństwa z poglądami znakomitego, a niestety niedość u nas czytywanego myśliciela francuskiego Bonalda. Rozważania na temat: „Król źródłem władzy“ ogłasza prof. Szymon Dzierzgowski. Świetne są aktualno-polemiczne uwagi Linkeusa (K. M. Morawskiego) p. t. „Po wyborach“, a w dziale listów do redakcji „Gdzie szukać prawdziwych wsteczników“ K. H. Rostworowskiego. Historyków niewątpliwie zainteresuje ogłoszony po raz pierwszy dokument: nieznany list Marszałka Sejmu Czteroletniego, Stanisława Małachowskiego.

Czytanie „*Pro fide, rege et lege*“ jeszcze z jednego względu jest rzeczą pożyteczną i pouczającą: Wydawnictwem tem kierują ludzie o poglądach skrajnie konserwatywnych, idący świadomie „przeciw prądowi“ opinji publicznej, z natury niejako niezdolni do jakichkolwiek taktycznych ustępstw i kompromisów. A jednakże zrozumienie ich i porozumienie się z tymi „doktrynerami“ jakże łatwe jest dla każdego uczciwego Polaka i katolika, właśnie w imię tych uczciwie pojmowanych, wspólnych założeń polskich i katolickich!..

*

Ostatni (4-ty) zeszyt wileńskiego perjodyku „Źródła Mocy“ jest niemal cały ściśle związany z t. zw. „regjonalnemi“ potrzebami Wileńszczyzny. Więc p. Helena Romer daje barwny szkic o Wilnie z przed pół roku. W. Antoniewicz opisuje muzea wileńskie, ks. Popłatek kreśli dział alumnatu papieskiego w Wilnie, Władysław Studnicki daje ogólny wizerunek ziem północno-wschodnich, Z. Harting omawia stan rolnictwa, konserwator R. Remer zdaje sprawozdanie z działalności sztuki przy województwie, wreszcie pracownicy bibljoteki U. S. B., S. Rygier i A. Łysakowski, omawiają współczesne czasopiśmiennictwo wileńskie oraz bibljografję regjonalną. Artykuł o ogólniejszem znaczeniu daje S. Cywiński, który omawia „Sto lat walki z Konradem Wallenrodem“ i analizuje stosunek do dzieła autora, społeczeństwa oraz krytyki literackiej, zamykając swe wywody we wniosku: ...„Mickiewicz w swym poemacie chwali zdradę, zaleca ją swym rodakom i nakłania ich do niej, oraz sankcjonuje i uprawnia nienawiść wroga, polecając składać jej w ofierze to wszystko, co stanowi zwykłą normę ludzkiego szczęścia i treść moralności chrześcijańskiej“.

U SŁOWIAN

Wyszedł z druku trzeci numer za r. bież. kwartalnika sofijskiego „*Słowiański Głas*“ (r. XXII), wydawanego przez zasłużone T-wo Słowiańskie w Bułgarji. Zawiera on: dwa

artykuły: V. Bogajewskiego i M. J. Madżarowa, poświęcone pięćdziesiątej rocznicy kongresu berlińskiego, b. interesujący *essai* VI. Dvornikovića p. t. izolacja kulturalna Słowian w Europie, doskonałe studjum Chr. Wakarelskiego o „Polskiej pieśni ludowej", artykuł o bitwie pod Szipką (1877, A. Błokowa), przegląd kulturalny i polityczny, m. in. żywe słowa wdzięczności pod adresem Polski za pomoc przez nią okazaną Bułgarji po katastrofalnem trzęsieniu ziemi. — Chr. Wakarelski w swem studjum mówi kolejno o różnych rodzajach naszej pieśni ludowej, cytuje szereg pieśni (niestety bez odpowiednich czcionek), zajmuje się ogólnym charakterem i porównuje go z pieśnią bułgarską, znajdując między nią a pieśnią polską wiele wspólnego.

*

Zjednoczenie towarzystw studenckich Rosji emigracyjnej „*ORESO*" wydaje w Pradze czasopismo „*Gody*" (r. VII). W ostatnim (6) numerze tego pisma znajdujemy m. in. artykuł N. W. Bystrowa, stud. działacza międzynarodowego, o wytycznych czynności studentów emigr. ros. na terenie międzynarodowym. Znajdujemy tam m. in. ustęp mówiący o potrzebie solidarności słowiańskiej, zrywający z dawnem ros. „słowianofilstwem" („słowieńszczyzny nie można utożsamiać z prawosławiem"). Autor następująco pisze o Polsce: „Stosunki polsko-rosyjskie są nadal jeszcze nienormalne. Jednakowoż, wobec istnienia u szeregu przedstawicieli młodzieży polskiej innego niż u „ojców" ustosunkowania się do Rosji, można liczyć się i należy pracować nad likwidacją odwiecznego konfliktu polsko-rosyjskiego". Dalej autor wprawdzie określa naszą politykę kresową jako błędną, ale mimo to oświadcza „kwestja graniczna 1920 jest bezgranicznie drobna dla obu stron w porównaniu z kwestją niepodległości Polski już rozwiązaną, z wyłaniająca się kwestją angloazjatycką, wobec której będziemy musieli mieć zabezpieczone tyły... z kwestją już niedaleką nowej ekspansji nienaturalnie ścieśnionych Niemiec". W końcu autor podkreśla dobrą wolę ros. studentów emig. dla ustanowienia dobrych stosunków z Polską.

*

Październikowy (8.) numer bieżącego (XX) rocznika miesięcznika praskiego „*Slovanskij Prehled*" przynosi; 28 października 1918 — 1928 (A. Cernego), Legje czechosłowackie a Rosja (G. Kudela), Cerkiew rosyjska za rewolucji (G. V. Fedotor), następnie zaś stały przegląd politycznego i kulturalnego życia słowian, sprawozdania i recenzje. Przegląd ten o Polsce redaguje obecnie E. Janousek po p. E. Parmie, który odszedł z Pragi na stanowisko *attaché* prasowego przy poselstwie czeskosł. w Warszawie. Osobna rubryka mniejszościowa „ukraińcy w Polsce" (pisze V. Charvát) tym razem nas nie atakuje. W dziale recenzyj szereg dzieł polskich otrzymuje ocenę, w dziale nekrologów wzmianki o K. Kamińskim, J. Mycielskim, S. Noakowskim i L. Sawickim. — Budzi uwagę od jakiegoś czasu minimalna ilość artykułów polskiego pióra, czego nie można uważać za korzystne.

*

Ósmy numer czeskiego miesięcznika poświęconego Serbom łużyckim „*Cesko-Lužickij Vestnik*" (Praha, r. XI) zawiera: wstępny wiersz poetki dolnołużyckiej Miny Wiktorje, dumnie głoszący: „My Serbami jesteśmy i zostaniemy jak nasi przodkowie...", następnie zwraca uwagę prof. Dra J. Kaprasa „Łużyca a dziesięciolecie odnowionego państwa czeskiego", kreślący przebieg związków obu narodów, oraz kronikę życia łużyc. W przeglądzie prasy m. in. wzmianka o rubryce słowiańs. „Myśli Narodowej". W wyjątkach z poezji łuż. dwa godne uwagi wiersze łuż. poezji bojowej: „Nie poddaj się"J. Skalii „Powstańcie Serbowie" J. Nowaka.

*

Wybitny uczony słowacki prof. Dr. Józef Skultéty, kierownik Macierzy Słowackiej, wydał ostatnio b. ciekawą książkę p. t. „*Nehante lud môj—crty zo slovenskej minulosti*" (nie gańcie mego ludu — szkice z przeszłości słowackiej). Autor gloryfikuje słowną przeszłość słowaków, których pierwszem państwem miała być Wielka Morawa (jej słowacki charakter wykazuje dowodami filologicznemi). Kolejno mówi o poszczególnych okresach historji słowackiej, przedstawiając silne wpływy kulturalne słowackie w państwie węgierskiem w XIV — XVI w. Mówi o związkach z innymi Słowianami, z którymi porównuje Słowaków, dochodząc do wniosków, że zachowali oni ogromnie wiele z pierwotnych rysów charakteru słowiańskiego. Dowiadujemy się z książki również ciekawych danych o różnorodności kultury węgierskiej, na którą złożyło się również ogromnie wiele pierwiastków słowiańskich. — Celem książki wydaje się być podkreślenie równoważności kulturalnej słowaków w państwie czeskosłowackiem wobec czechów.

*

Charkowskie pismo literackie *Czerwonyj Szlach* poświęca niekiedy swe łamy stosunkom polsko-ukraińskim, nie pisząc zresztą o nas ze zbytnią sympatją. Z mniej więcej bezstronnych artykułów tego działu zasługuje ostatnio na wzmiankę studjum Wołod. Hnatiuka w 3-m numerze bieżącego rocznika pisma. Hnatiuk zajmuje się możliwością wykazania wpływu „Zamku Kaniowskiego" na „Hajdamaków" Szewczenki, przy sposobności szerszego omawiania utworu Goszczyńskiego na tle czasu jego powstania. Zauważa, że Szewczenko mógłby był zapoznać się z „Zamkiem Kaniowskim" Goszczyńskiego w czasie pobytu w Warszawie i Wilnie, co przy podobieństwie motywów obu utworów jest prawdopodobne. Podobnie jednak, jak i dawniejsi o tem wspominający badacze (Daszkiewicz, Arabażyn) nie podaje Hnatiuk żadnych dowodów dla tej swojej hypotezy.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Marius-Ary Leblond ukończywszy „*Les Martyrs de la République*" (*Ferenczi édit.*), poważne i wysoce interesujące dzieło, mające za tło ścieranie się idej społecznych, politycznych i religijnych pod rządami 3-ej Republiki, pracują obecnie nad szeregiem nowel egzotycznych, które ukażą się p. t. „*Etoiles*". Pozatem bracia Leblond przygotowują ciekawą powieść, której tematem będą obyczaje powojenne w sferach francuskiej burżuazji, specjalnie zaś poświęcając studjum małżeństwu. Młody kapitan, bohater z czasów wielkiej wojny, przebywający na prowincji, a pragnący ożenić się z francuzką konstatuje, że rezerwa i zamknięcie się licznych rodzin, należących do „*vieille France*" jest tak wielka, iż nawiązanie wszelkich stosunków staje się niezmiernie trudne. Wobec czego, po daremnych próbach, chcąc nie chcąc ożeni się, ale z angielką.

*

P. Alin Laubreaux urodził się w Nouméa. Powieść też jego „*Yan-le-„Métis*" (Albin Michel édit.) rozgrywa się na Oceanji. Jest to opowiadanie nadzwyczajnych historyj z życia młodego, a zupełnie prymitywnego chłopca, jakim jest właśnie Yan-le-Métis. Bohater ten po różnych perypetjach dostaje się pomiędzy ludożerców i ocalenie swoje zawdzięcza tylko przypadkowi. Autor opisuje w sposób bardzo prosty cały szereg scen egzotycznych, a podobno jednakowoż prawdziwych, które rozgrywają się zdala od wszelkiej cywilizacji.

*

„*La Renaissance du Livre*" wydaje wysoce ciekawą i poważną kolekcję dzieł historycznych, noszącą ogólny tytuł „*L'Evolution de l'Humanité*", a mająca objąć aż 100 tomów. Jednakowoż każdy z nich stanowić ma odrębną całość. Będzie to w istocie jedyna w swoim rodzaju encyklopedja historyczna ewolucji ludzkości, a więc jej wysiłków, zmierzających do coraz to wyższej i doskonalszej cywilizacji. Wydawnictwem tem kieruje p. Henri Berr, Dyrektor „*Revue de Synthèse historique*", a współpracuje z nim cała elita francuskich uczonych, profesorów uniwesytetów, kierowników wielkich muzeów, bibljotek, archiwów i t. p., jednem słowem specjalistów, znanych ze swych kompetencyj. Wydawnictwo to dzieli się na 4 działy, z których pierwszy rozpoczyna praca o „Ziemi w epoce przedhistorycznej", a ostatnie będzie studjum ewolucji doby współczesnej. Cały szereg tomów tej kolekcji ukazał się już w handlu księgarskim, budząc ogólne zainteresowanie zarówno specjalistów jak amatorów.

*

Henri Béraud, znany pisarz i wielki reporter, który niedawno opublikował na łamach „*Petit Parisien*" cały cykl „portretów" współczesnych polityków i mężów stanu europejskich, kończy obecnie książkę, która nosić będzie właśnie tytuł „*Rendez-vous européens*".

*

Pani Lucienne Favre, bardzo uzdolniona autorka „*Bab-el-Oued*" i „*L'Homme derrière le mur*" (Crès édit.) pracuje nad nową powieścią „*La Noce*".

*

W pierwszej połowie listopada ukaże się w Paryżu nowy tygodnik literacki „*Gringoire*", na którego czele stoją pp. H. de Carbuccia, J. Kessel i Georges Suarèz. W pierwszym numerze rozpoczyna Kessel drukowanie nowej swej powieści „*Belle du Jour*". Pomiędzy innymi współpracownikami tego tygodnika należy wymienić nazwiska: Francis de Croisset, Georges Auric, Fernand Divoire, Louis Latzarus.

*

Paryska naukowo-wydawnicza firmą J. Hermann wydała w 4 tomach matematyczne dzieła Hoene-Wrońskiego

(cena 700 fr.). — F. Warrain, autor obszernego dzieła o H.-Wr., które wyszło w przekładzie polskim J. Jankowskiego i P. Chomicza p. t. „Wiązanie metafizyczne, sporządzone według prawa stworzenia H. Wrońskiego“, Arct, 1928, ogłosił nową pracę: „*Quantité, Infini, Continu*“, Alcan, 1928, gdzie rozwija kategorję ilości na podstawie prawa stworzenia H.-Wr.

Wiktor Kozłowski (polak, mieszkający na Litwie) ogłosił po litewsku pracę: „*Valstybes tvarka ir netwarka*“ („O ładzie i nieładzie w ustroju państwa“), gdzie omawia koncepcję H.-Wrońskiego o Ciele Kierowniczem, rozwiniętą w „Metapolityce“. („Metapolityka“ wyszła po polsku w przekładzie J. Jankowskiego, nakładem Geb. i Wolffa). W książce p. t. „*Giuseppe Peano*“, wydanej w końcu sierpnia r. b. w 70-tą rocznicę urodzin znakomitego matematyka włoskiego, który rozwijał też poglądy matematyka H. Wr., S. Dickstein umieścił artykuł: „*Considerationes de Hoene-Wroński super metaphysica de calculo infitesimale*“.

NOWE KSIĄŻKI

Wojciechowski Zygmunt. Prawo rycerskie w Polsce przed Statutami Kazimierza W. Poznań 1928. Nakładem Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk. S. 204.

Noskowski Zygmunt. Kontrapunkt. Wykład praktyczny. Nowe wyd. przejrzał Ludomir Różycki. Warsz. 1928. Gebethner i Wolff.

Charszewski X. O absolutyzm idei Opatrzności w dziejach. Cuda i katastrofy. Warsz. 1928. Pro patria.

Perzyński Włodzimierz. Dziękuję za służbę. Komedja w 3 aktach. Warsz. 1929. F. Hoesick.

Tomassini Fracesco. Odrodzenie Polski. Warsz. 1928. F. Hoesick. S. 364.

Balzac. Chłopi. Powieść. 2 tomy. Przełożył Boy-Żeleński. Warsz. F. Hoesick.

Wilno—Legjony, 1914—1928. Wilno 1928. Wydaw. Kom. Org. VII Zjazdu Legjon. S. 110 z ilustr.

Ruch Literacki, wrzesień nr. 7.

Walka z bolszewizmem. Warsz. 1928, zesz. VII.

Ezoter, mies. poetycki. Kraków 1928, nr. 2-3.

Bez przyłbicy. Organ myśli i czynu młodych katolików. Warsz. 1928, nr. 2 (sierpień).

Rolnik-Ekonomista. Warsz. 1928, nr. 18 (z 15 wrześ.).

Ligocka Olimpja. Wieczór przed zmartwychwstaniem. Poezje. Wydanie pośmiertne z portretem. Poznań 1928. Księg. św. Wojciecha.

Ligocki Edward. Prawo szpady i krwi. Powieść. Poznań 1928. Księg. św. Wojciecha.

Zegadłowicz Emil. Z pod młyńskich kamieni. Żywot Mikołaja Srebrempisanego. Część druga. Poznań 1928. Księg. św. Wojciecha.

Mann Maurycy. Jak się uczyć języka i literatury włoskiej? Poradnik bibljograficzny. Warsz. 1928. Gebethner i Wolf.

Handelsman Marceli. Historyka. Zasady metodologji i teorji poznania historycznego. Podręcznik dla szkół wyższych. Wyd. drugie uzupeł. Warsz. 1928. Gebethner i Wolf.

Kaczanowski Mieczysław. Myśli o ustroju Polski. Szkic literacko-polityczny. Warsz. 1928. Druk. Artyst. S. 62.

Glass Henryk. Obrona Polski przed bolszewizmem. Płock 1928. Dobra Prasa. S. 38.

Cywiński Stan. Sto lat walki z Konradem Wallenrodem. Wilno 1928. Odbitka ze „Źródeł Mocy“. S. 15.

Karaczewcew S. Rotmistrz gwardji. Powieść (przekład z rosyj.). Warsz. 1928. Księg. Jodkowskiego.

Tedesko H. 50 przygód miłosnych polskiego Don Juana. Warsz. 1928. Księg. Jodkowskiego.

NA MARGINESIE

Już nie ze stanowiska politycznego, lecz w trosce o zdrowe zmysły społeczeństwa i o hygjenę elementarną ducha notujemy na marginesie spraw bieżących, że w Polsce nie było nigdy takiej atmosfery moralnej jak teraz. Sanacja pozwala sobie na eksperymenty psychologiczne rzekomo płynące z kultu marsz. Piłsudskiego, ale bynajmniej nie świadczące o poważnych dla niego uczuciach. Doprowadziła ona mianowicie do psychozy zbiorowej, która odbiera ludziom godność ludzką i poczytalność moralną. Przecież to nie leży w interesie osoby czczonej i nie może nawet dogadzać jej ambicjom.

Weźmy takie gorszące fakty, jak świeże zdarzenie z powieścią G. Olechowskiego, abo wypadki, że syn demonstracyjnie protestuje przeciw hołdowi, który składa społeczeństwo jego zmarłemu ojcu, — w obawie, że ten hołd może być niemiły Piłsudskiemu. Tylko w stanie jakiejś paniki mogło zadać sobie taki gwałt serce synowskie. Taki Olechowski do niedawna biedujący w innym obozie dla karjery wydaje powieść „Wódz“, książkę panegiryczną. Sanacyjny „Głos Prawdy“ piętnuje autora za cynizm pochlebstwa, ale widać, że robi to ze złości, iż przybywa do koryta konkurent.

Gdzieindziej ludzie poprostu denuncjują się, prowokują wzajemnie, czytając sobie w sercach, czy ktoś nie pachnie buntem. W obawie o to posądzenie licytują się w pomysłach czołobitności. Trudno w tych warunkach pracować, gdy jedni drugich terroryzują groźbą utraty kawałka chleba. Kto tem wszystkiem kieruje? Kto każe np. takiemu Al. Janowskiemu pisać broszurę popularną, niegodną prezesa Tow. Krajoznawczego, który obowiązany jest znać nie tylko geografję, ale i historję kraju.

To wszystko jest psychoza, szerzona umiejętnie przez mistrzów tajnych sanacji, nie mająca nic wspólnego z celami rzekomego hołdu, a jeszcze mniej z uroczystością niepodległości państwa. Takie rzeczy uwłaczają naturze zachodniej cywilizacji i powadze narodu.

*

Najwięcej miał do powiedzenia na dziesięciolecie niepodległości Polski... „Głos Prawdy“, wydał bowiem na to święto numer, złożony z 88 stronic (oprócz dodatku). Ale jeszcze więcej mają do powiedzenia w tym numerze przemysłowcy, banki, instytucje gospodarcze, ministerja, obłożone haraczem płatnych ogłoszeń, których w tym numerze jest coś 80 stron. Z niedawno opublikowanego rachunku jednego z dzienników sanacyjnych wiemy, że za stronę liczy sobie on 4000 zł. Mamy więc tutaj cyfrę 320.000 zł. Ponieważ tak groźnych wydawnictw sanacyjnych jest conajmniej dziesięć, możemy sobie wyobrazić jak wygląda w naszym przemyśle i handlu konto reklamy. I co z tego komu, kiedy np. „Głosu Prawdy“ nikt nie czyta? Daremnie szukamy w tym plonie świątecznym wyjaśnienia, jaka jest podstawa chełpliwości obozu sanacyjnego z powodu odzyskania niepodległości. Dopiero w osobnym dodatku, redagowanym przez Kadena Bandrowskiego, dowiedzieliśmy się, iż właściwie Polska doszła do wolności automatycznie; samo się zrobiło. A jeśli już chodzi o całą prawdę, to „niepodległość Polski narzucili koalicji wbrew jej zamiarom... niemcy i bolszewicy“... (nr. 271, s. 722). Wreszcie dowiedzieliśmy się, komu zawdzięczamy niepodległość.

*

Sanacyjny „Głos Prawdy“ pisze: „Nazwa Gdynia to nie jest nazwa godna dla portu wielkiego i dzielnego narodu polskiego“. „Niech żyje Piłsudsk!“. Tak organ półurzędowy radzi przezwać Gdynię, wtedy nazwa będzie „godna dla portu wielkiego“ itd. Kulturze serca polskiego odpowiada kultura umysłowa twórcy projektu. „Wszak wiele nazw polskich — powiada on — pochodzi od imion lub nazwisk, jak Kazimierz, Tarnów, Zamość...“. W sferze sanatorów wyobrażają sobie, że Tarnów i Zamość wzięły nazwę od Tarnowskich i Zamojskich. Uczeń pierwszej klasy powinien wiedzieć, że było odwrotnie. Ludzie wschodu (*wostocznyje liudi*) zabawnie wyglądają jako gospodarze cywilizacji zachodniej. W uszach im brzmi: Kisłowodsk, Jenisejsk, Symbirsk, Dwińsk. Prastara formacja polska łącznej pary nazw miejscowych Gdańsk i Gdynia—wydaje się im czemś zbyt pospolitem, ale „Piłsudsk“ nad Bałtykiem — to dopiero będzie symbol potęgi i wolności! Symbolizm u tych parwenjuszy doszedł już do stanu ostrej psychozy.

*

„Głos Lubelski“ komentuje z ubolewaniem fakt, że starosta hrubieszowski p. Łach obowiązki reprezentacyjne traktuje zbyt groteskowo. Duchownym prawosławnym składa wizyty, przyjazdu biskupa katolickiego do Hrubierzowa nie spostrzegł, teraz zaś wziął udział w obrzędzie obrzezania u żyda Finkelsztajna. Mamy dowód, jak ludzie przestają się orjentować po 10 latach od kongresu wersalskiego, że Rzeczpospolita, w której pracują, jest państwem polskiem, dziedzictwem dawnych Lachów, nie łachów.

BŁĘDY DRUKU. W nr. 25 w utworze M. Wolskiej „Zaduszki“ — pomimo pietyzmu, z jakim była robiona korekta tego pięknego wiersza — pozostały dwa niedopatrzone błędy, mianowicie w wierszu 3 m. powinno być „malutka“ (nie zaś „—tką“), a potem w wierszu 14 i w samem zakończeniu złożone dwa razy „najpierwiej“, zamiast „—wej“.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105,

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM